19. II 47

W numerze — nasz własny sąd o „Kuźnicy"

Cena 10 zł. 12 stron

KUŹNICA

Rok III Łódź, 19 lutego 1947 r. Nr 7 (76)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

„Trzeba człowieka nauczyć, aby zrozumiał, że on sam jest twórcą i panem świata, że na niego spada odpowiedzialność za wszystkie nieszczęścia na ziemi i na niego również spada sława za wszystkie dobra życia". *Maksym Gorkij*

TREŚĆ NUMERU:

ADAM SCHAFF — **HUMANIZM SOCJALISTYCZNY (I)**
STEFAN ŻÓŁKIEWSKI — **DWIE ZNAMIENNE KSIĄŻKI**
ADAM WAŻYK — **ROZMAITOŚCI**
ZYGMUNT MYSŁAKOWSKI — **PROBLEM REEDUKACJI NIEMIEC**
ADAM WAŻYK — **NA DREWNIANYM KONIU**
JAN HUSZCZA — **MAGISTER KARASEK ZOSTAJE BURMISTRZEM**
RYSZARD MATUSZEWSKI — **POWIEŚĆ O GRUPIE DEMBIŃSKIEGO.**
JAN BACULEWSKI — **ZAGADNIENIE UPOWSZECHNIENIA KULTURY**
JERZY PIÓRKOWSKI — **O SKIERNIEWICKICH STENACH I KRAKOWSKICH RYNGRAFACH**
KRONIKA RADZIECKA
KAZIMIERZ BUDZYK — **O KSIĄŻCE IGNACEGO FIKA**
KANDYD — **TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK**
PRZEGLĄD PRASY
KORESPONDENCJA
NOTY
KOLUMNA SATYRY

ADAM SCHAFF

HUMANIZM SOCJALISTYCZNY (I)

SOCJALIZM I HUMANIZM

„...proletariat zagarnia władzę polityczną i mocą tej władzy zamienia społeczne środki produkcji, wymykające się z rąk kapitalizmu, we własność społeczną. Tym aktem wyzwala siły wytwórcze od tego wszystkiego co było im w charakterze kapitału właściwe, pozwala ich charakterowi społecznemu ujawnić się z całą swobodą. Odtąd staje się możliwa produkcja społeczna według z góry ustanowionego planu. Rozwój produkcji czyni dalsze istnienie różnych klas społecznych anachronizmem. W miarę znikania anarchii produkcji społecznej obumiera również autorytet polityczny państwa. Ludzie, stając się wreszcie panami swych własnych form uspołecznienia, stają się zarazem panami przyrody, panami samych siebie — **stają się wolni.**

Dokonanie tego czynu, wyzwalającego świat jest misją historyczną nowoczesnego proletariatu. Zgłębienie historycznych warunków tego czynu, przez to samo i natury tego przewrotu, uświadomienie w ten sposób klasie powołanej do działania, a dziś uciśnionej, warunków i natury jej własnej akcji, stanowi zadanie naukowego socjalizmu, jako teoretycznego wyrazu ruchu proletariackiego" (Engels). *)

Walka o socjalizm — to walka o wyzwolenie Człowieka.

Wydawałoby się, że jest to prawda tak podstawowa i powszechnie znana, że powtarzanie jej jest zbyteczne. Zdarza się jednak i tak, że właśnie dzięki swej oczywistości i powszechności pewne prawdy zostają zapomniane; poprostu uważa się, że ich powtarzanie jest niepotrzebne, a z czasem — ze zmianą warunków — sprawy drugorzędne wysuwają się na plan pierwszy, zmienia się punkt widzenia, kolejne zadania praktyczne pochłaniają uwagę i w rezultacie zagadnienie centralne zostaje usunięte w cień.

Jeślibyśmy zapytali przeciętnego człowieka, jaki jest cel ruchu robotniczego (t. zn. socjalistycznego czy też komunistycznego, wedle tradycyjnych nazw partyjnych) to w zależności od momentu historycznego, od konkretnych warunków danego kraju, od własnych zainteresowań zapytanego, odpowiedź brzmieć będzie rozmaicie. Dla jednego będzie tym celem walka z faszyzmem, dla drugiego likwidacja własności prywatnej, dla trzeciego obalenie starego ustroju i wprowadzenie nowej demokracji; w wyjątkowych tylko wypadkach sprawa wyzwolenia Człowieka, wyzwolenia rozumianego w sensie najszerszym, wysunięta zostałaby na plan pierwszy. I nic w tym nie ma dziwnego. W ruchu robotniczym panuje dziś preponderancja zagadnień praktycznych, aktualnych. W przeciwieństwie do pierwszych etapów jego rozwoju, dziś dominują w nim zadania konkretne; jest to niezawodnie dowód siły. Ten obiektywny stan rzeczy wywiera jednak wpływ na kształtowanie się świadomości bezpośrednich aktorów wielkiej gry — zorganizowanych bojowników ruchu robotniczego i jej widzów. Jest to zjawisko wytłumaczalne, ale wydźwięk jego bywa ujemny. Zwłaszcza w obecnym okresie.

Po czasach pogardy panowania faszystowskiego sprawa Człowieka stała się sprawą najważniejszą; jest to normalna reakcja na podeptanie praw i godności człowieka przez faszyzm. Dlatego tak modny stał się obecnie termin „demokracja", tak ulubionym słowem stał się „humanizm". Stąd też ujemny stosunek do tych prądów społecznych, które podejrzewa się o negatywny stosunek do postulatów humanizmu. Ten moment wykorzystują zręcznie przeciwnicy ruchu robotniczego, zarzucając marksizmowi antyhumanizm. Pomagają im w tym częstokroć uczciwi zwolennicy socjalizmu, którzy nie znając i nie rozumiejąc ideologii marksistowskiej przedstawiają ją w wykrzywionym zwierciadle i starają się „uzupełnić" marksizm humanizmem, który faktycznie stanowi przecież najgłębszą istotę socjalizmu. W wyniku tych poczynań otrzymujemy po największej części pokraczne wydanie neotomizmu, stanowiącego krok wstecz w porównaniu z marksistowskim humanizmem. Ten aktualny aspekt zagadnienia, posiadającego ogromne znaczenie propagandowe, każe nam zająć się bliżej problemem humanizmu socjalistycznego.

DEFINICJA HUMANIZMU

Zacznijmy od bliższego określenia pojęcia humanizmu. Idzie tu o termin wieloznaczny, co powoduje częstokroć nieporozumienia i komplikacje. Coś innego rozumiemy przez „humanizm" i „humanistyczny", gdy mówimy o gimnazjum humanistycznym, czy też o humanistyce, jako o dziale nauki; coś innego gdy w ślad za pragmatyzmem nazywamy humanizmem teorię, głoszącą, że wszystkie nasze prawdy są wytworem Człowieka, i że świat naszego poznania jest ukształtowany przez nasze potrzeby; coś innego wreszcie, gdy w ślad za publicystyką mówimy coraz częściej o humaniźmie socjalistycznym, chrześcijańskim itd.*) Humanizm, w tym ostatnim i chronologicznie najnowszym znaczeniu, da się najogólniej określić jako postawa, polegająca na stawianiu sprawy Człowieka — możliwości jego wszechstronnego rozwoju, jego wolności, godności — jako naczelnej sprawy całej naszej działalności politycznej i społecznej. Obiektywne i subiektywne przyczyny, na które już wyżej zwróciliśmy uwagę, tłumaczą rosnące zainteresowanie dla tak pojętego humanizmu ze strony istniejących ruchów politycznych.

Ogólnikowy charakter podanej definicji pozwala pretendować do miana humanistycznych wszystkim kierunkom, które stawiają sprawę Człowieka w tym sensie, że głoszą walkę o szczęście jednostki. Zapytajmy jednak jaki kierunek polityczny, jaki ruch społeczny tego nie głosi? Stąd też prawdziwy ambaras z wielością konkurujących dziś ze sobą „humanizmów" i z problemem, który z nich jest prawdziwy. Powstaje zagadnienie kryterium, pozwalającego na rozstrzygnięcie tego problemu. Oczywiście, nie może nim być deklaracja słowna danego kierunku, sam fakt głoszenia zasady szczęścia jednostki. W imię tej zasady, w imię „wyższego" „prawdziwego" szczęścia człowieka palono w średniowieczu heretyków na stosie; w imię swoiście rozumianego „szczęścia" człowieka, rozumiejąc przez człowieka członka klasy panującej narodu wybranego, faszyzm ujarzmiał, niszczył miliony ludzi na całym świecie. Pretensje do miana humanizmu ze strony ciemnych sił średniowiecza, czy też współczesności, odrzucamy bez wahania. O wiele trudniej jest rozstrzygnąć spór, toczący się między takimi koncepcjami, jak liberalizm burżuazyjny, chrześcijaństwo, socjalizm itd. W tym celu musimy sięgnąć głębiej do podanej przez nas definicji humanizmu, odpowiednio ją zwęzić.

KONIECZNOŚĆ ANALIZY HISTORYCZNEJ

Zapytajmy, co to właściwie znaczy „wysuwać sprawę Człowieka, jako zagadnienie centralne", a od razu wyłania się szereg poważnych trudności. Okazuje się, że podana przez nas wyżej ogólnikowa definicja, stanowiąca abstrakcję, dokonaną na podstawie szeregu konkretnych typów humanizmu, nie nadaje się do rozstrzygnięcia wysuniętego przez nas pytania, nie pozwala na wartościowanie, na zakwalifikowanie określonego kierunku jako humanistycznego. Jeśli zgodzimy się z tym, że mówiąc o „sprawie Człowieka", mamy na myśli realizację maksimum szczęścia jednostki, powstaje problem, co zapewnia to szczęście. Okazuje się, że rozmaite kierunki posiadają rozmaite koncepcje drogi, wiodącej do szczęścia jednostki oraz rozmaicie to szczęście pojmują. Czy każdą z tych koncepcji będziemy traktować jako humanistyczną, kierując się deklarowanym przez nie celem, czy też tylko określone spośród nich? Czy istnieje jakieś ogólniejsze pojęcie humanizmu, w którym zawarte są te poszczególne, konkretne koncepcje, czy też należy się wyrzec poszukiwania takiego pojęcia nadrzędnego?

Te niezwykle ciekawe i zarazem ogromnie skomplikowane zagadnienia stanowią analogię do problemu demokracji. Stosunkowo łatwo możemy podać negatywną definicję demokracji, określając ją jako zaprzeczenie faszystowskich metod rządzenia. Spróbujmy jednak przejść do definicji pozytywnej, a od razu ujawnia się trudność znalezienia wspólnego języka między demokracją np. burżuazyjną, ludową, socjalistyczną. Jeśli zaś sięgamy do definicji najszerszej, obejmującej wszystkie wymienione, współcześnie istniejące typy demokracji oraz różnorakie historyczne jej formy (demokracja antyczna, szlachecka i in.), to albo dojdziemy do ogólnika typu „demokracja jest to panowanie ludu", albo do normy idealnej, która nie znajduje realizacji w żadnym konkretnym typie ustrojowym. Jedynym wyjściem z tego rodzaju sytuacji jest historyczna analiza zagadnienia, uwzględniająca warunki miejsca i czasu. **Ocena** poszczególnych form demokracji może dać rezultat pozytywny tylko w tym wypadku, gdy opierać ją będziemy na takiej **konkretnej** analizie; tylko w tym wypadku bowiem możemy z sensem mówić o postępowym lub wstecznym charakterze danego ustroju, porównywać poszczególne formy demokracji z punktu widzenia ich przydatności w określonych warunkach miejsca i czasu. Wynika z tego pośrednio, że nie ma jakiejś ponadczasowej demokracji „w ogóle", a tylko konkretne, przemijające jej formy, których ocena zmienia się wraz ze zmianą warunków miejsca i czasu.

To historyczne podejście daje płodne rezultaty również w zastosowaniu do analizy problemu humanizmu. Rozwój społeczeństwa powoduje zmianę potrzeb człowieka, a wraz z tym i ideału jego rozwoju i związanego z tym szczęścia osobistego. Wynika z tego wyraźnie, że próba utrwalenia tego ideału w jakimś niezmiennym systemie humanistycznym musi prowadzić albo do ogólników typu wieloznacznego określenia „dążenie do szczęścia osobistego", albo też do twierdzeń fałszywych, jeśli bez zróżnicowania odniesiemy je do różnych epok, miejsc i potrzeb. Odpowiedzieć sensownie na pytanie, co jest humanizmem w podanym przez nas znaczeniu, a co nie, można w tym tylko wypadku, gdy jednocześnie dokładnie określamy warunki miejsca i czasu. Tylko taka **konkretna analiza** tworzy podstawę dla oceny poszczególnych koncepcji humanistycznych. Ona też winna nam umożliwić odpowiedź na postawione wyżej pytania.

Trudno jest odpowiedzieć pozytywnie, co rozumiemy przez humanizm „w ogóle", jeśli nie chcemy ograniczyć naszej odpowiedzi do ogólników. Nie nastręcza natomiast trudności konkretna definicja i ocena, gdy znamy warunki miejsca i czasu, gdy szukamy odpowiedzi nie absolutnej, a konkretno - historycznej.

Burżuazja występowała jako klasa rewolucyjna przeciw feudalizmowi, broniąc swego interesu klasowego: wolnoprzesiedlności chłopów (t.zn. otwarcia źródeł dopływu siły roboczej do miast), wolności handlu i przemysłu (tzn. wolności bogacenia się), wolności politycznej i wolności sumienia (tzn. wolności walki o obalenie władzy politycznej feudałów). W tym okresie jednakże interes klasowy burżuacji i jej walka przeciw ograniczeniom feudalnym pokrywa się z interesem klasowym i walką całego stanu trzeciego. Dlatego też burżuazja staje się wówczas przodowniczką walki ogólnonarodowej o wolność i prawa człowieka. „Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela" — podstawowy akt prawny nowego okresu — posiada historyczne znaczenie dla walki o wolność i prawa wolnościowe jednostki. Wprowadza ona zasadę **formalnego** równouprawnienia wszystkich obywateli, postuluje zasadnicze prawa wolnościowe, o których realizację walczyć będą późniejsze pokolenia, znosi prawne ograniczenia wolności jednostki, jej możliwości awansu społecznego i walki o szczęście osobiste, jakie znała poprzednia epoka, epoka feudalizmu. Czy tę postawę **walczącej** przeciw feudalizmowi burżuazji, czy rozwinięte przez nią w trakcie tej walki prądy wolnościowe możemy nazwać humanizmem w podanym wyżej znaczeniu? Niewątpliwie tak, ponieważ w ówczesnych warunkach walka o formalne równouprawnienie i formalne prawa wolnościowe była

*) Engels: Rozwój socjalizmu od utopii do nauki. Dzieła wybr. 1, str. 243—4, podkr. nasze A. S.

*) por. art. Dra Szczepańskiego w „Kuźnicy" Nr 43, 1946 r.

ogromnym postępem, a realizacja celów tej walki otwierała nowe perspektywy przed jednostką, walczącą o szczęście osobiste. W tym więc znaczeniu i w tym aspekcie historycznym możemy mówić o **humaniźmie burżuazyjnym.**

Kilka dziesięcioleci panowania burżuazji wystarczyło dla rozprószenia wszelkich iluzji odnośnie do rzekomo idealnego charakteru burżuazyjnej „Wolności, Równości i Braterstwa". Masy ludowe na własnej swojej skórze przekonały się, że realizacja szczytnych haseł Wielkiej Rewolucji Francuskiej tak długo będzie niemożliwa, tak długo będą one tylko **formalnymi postulatami** bez realnego pokrycia, dopóki formalną równość obywateli będzie anulować rzeczywista, ekonomiczna, ich nierówność. Własność prywatna i zróżnicowanie majątkowe stanęły na drodze do szczęścia osobistego jednostki: ograniczając jej możliwości rozwoju, hamując jej awans społeczny, odbierając jej częstokroć najprymitywniejszą możliwość egzystencji. Nie uświadamiano sobie początkowo wszystkich konsekwencji, płynących z faktu indywidualnej (prywatno - własnościowej) dystrybucji społecznie wyprodukowanych dóbr, ale krytyka socjalistów utopijnych wykrywa właściwe źródło społecznego zła — własność prywatną. Rozpoczyna się nowy etap walki o prawa Człowieka — o wolność jednostki, jej godność, możliwości rozwoju i awansu, o jej szczęście osobiste. Tym razem pod sztandarem krytyki ustroju kapitalistycznego, który podnieśli wielcy socjaliści - utopiści ubiegłego stulecia: Saint-Simon, Fourier, Owen i inni. Zasadniczą ich myślą, która posiada trwały charakter, było dążenie do wyzwolenia Człowieka drogą usunięcia materialnego hamulca jego rozwoju, jakim w nowych warunkach stała się własność prywatna środków produkcji. Myśl ta wydawała się im tak oczywista i jasna dla każdego, cel tak wzniosły i szlachetny, że przeoczali konieczność walki o jego realizację, wyobrażając sobie, iż miłość do Człowieka i siła argumentu zadecydują o zwycięstwie słusznej sprawy. To abstrahowanie od realnych prawidłowości rozwoju społecznego, od realnych jego potrzeb i konieczności, do których włączyć należy i walkę klasową, zadecydowało o utopijnym charakterze ich socjalizmu. Czy możemy jednak postawę socjalizmu utopijnego ochrzcić mianem humanizmu? Niewątpliwie tak; w konkretnych warunkach miejsca i czasu, na ówczesnym etapie rozwoju społecznego, socjalizm utopijny nie tylko reprezentował najdalej posuniętą walkę o prawa człowieka, ale wręcz jedynie wówczas możliwą walkę, ponieważ nieskrystalizowany jako klasa proletariat nie potrafił jeszcze skrystalizować swej świadomości społecznej.

Kierując się metodą historyczną, możemy wykazać w każdej epoce istnienie właściwego jej humanizmu. Do niego ostatecznie sprowadzają się wszystkie prądy reformatorskie i rewolucyjne w historii ludzkości, a takie prądy występują wszędzie tam, gdzie istnieje ucisk i wyzysk, tzn. na przestrzeni całej historii społeczeństwa klasowego. Można historycznie określić jako prądy o postawie humanistycznej i pierwotne chrześcijaństwo, i Reformację, i Oświecenie Francuskie XVIII w., i socjalizm utopijny. **Historycznie** możemy więc z sensem mówić i o humaniźmie chrześcijańskim, i o burżuazyjnym, i o utopijnym. **Historycznie** musimy każdy z nich, dla danej epoki historycznej, wartościować pozytywnie, ponieważ są to ogniwa w wielkim łańcuchu postępu ludzkości. Ale też tylko z **historycznego punktu widzenia.** Sprawa nabiera zupełnie innego aspektu, gdy patrzymy na nią z punktu widzenia dnia dzisiejszego.

Analiza historyczna wykazała nam istnienie szeregu humanizmów, które dla odróżnienia dookreślamy przymiotnikami: „chrześcijański", „burżuazyjny", „utopijny" itd. Ale Humanizmu przez wielkie „H" nie wykryła. Nie ma „Humanizmu" podobnie jak nie ma „Człowieka". Istnieje „człowiek" konkretny, żywy człowiek określonej epoki, mieszkaniec określonego kraju, członek określonej klasy i warstwy społecznej, nosiciel określonego bagażu tradycji i określonych ideałów szczęścia osobistego. A ten różni się zasadniczo od wyimaginowanego Człowieka, tego ponad — jednostkowego, ponadczasowego, ponadmiejscowego, ponadklasowego „człowieka — w ogóle". O takim Człowieku nic prócz ogólnika odnośnie do jego struktury fizycznej i psychicznej powiedzieć nie możemy. Podobnie też i o „Humaniźmie", którego nosicielem miałby być mityczny „Człowiek". Gdy badamy historię, interesuje nas nie wysuszona abstrakcja „człowieka — w ogóle", a żywy, występujący w wielobarwności swych powiązań społecznych człowiek; podobnie interesujemy się tętniącym życiem humanizmem żywych ludzi, a nie wieloznacznym ogólnikiem lub mdłą abstrakcją normy etycznej. Nawiasowo należy powiedzieć, że przekształcając humanizm w niezmienną normę etyczną, nie tylko utrudniamy sobie, jeśli nie uniemożliwiamy w zupełności, rozwiązanie zagadnienia, ale popełniamy zasadniczy błąd w rozumowaniu. Czyż norma etyczna wisi w powietrzu, czy jest ona niezależnym od ludzi tworem? Fakt zmienności norm etycznych przemawia przeciw takiemu stanowisku. Norma etyczna jest tworem żywych ludzi, jest wyidealizowanym postulatem stosunków międzyludzkich, który powstaje w określonych warunkach miejsca i czasu. Tylko w ten sposób można wytłumaczyć różnicę między panującą w naszych czasach normą etyczną równości i wolności wszystkich ludzi, a poglądem przedstawicieli niewolnictwa czy feudalizmu na niewolnictwo czy poddaństwo jako na stan przyrodzony. Tym tłumaczy się różnica norm etycznych rozmaitych okresów historycznych, społeczeństw na różnym poziomie rozwoju, nieraz różnych klas społecznych. Stojąc na stanowisku normy etycznej, tzn. normy etycznej naszego społeczeństwa, musimy tym samym grzeszyć przeciw historii; biorąc za podstawę sztucznie podwyższoną, obecnie obowiązującą skalę oceny, wszystkie poprzednie okresy historyczne zostaną bowiem ocenione ujemnie. Przerzucanie oceny dnia dzisiejszego na wypadki przeszłości jest błędem, uniemożliwiającym rozwój racjonalnej nauki historii. Z drugiej strony, prowadzi to do niczym nieuzasadnionego narzucania naszego stanowiska i oceny przyszłym pokoleniom. Próby przekształcenia humanizmu w normę etyczną powodują jedynie dodatkowy błąd, polegający na fałszywym utożsamieniu stanowiska konkretnej współczesności ze stanowiskiem przeszłości i przyszłości historycznej.

Rozstrzygnąć pytanie, który z występujących obecnie „humanizmów" jest humanizmem prawdziwym i jak należy ocenić pretensje jego konkurentów, można więc tylko na bazie konkretnej analizy historycznej.

Nasza postawa społeczna kształtuje się na podłożu istniejących warunków miejsca i czasu. Oczywiste, nie w oderwaniu od tradycji, od przeszłości. Budując gmach społecznego współżycia ludzi, w żadnej dziedzinie nie budujemy go, jeśli można użyć tego obrazu, w próżni. Każda epoka wznosi nowe, wyższe piętro; ale każde nowe piętro, aczkolwiek posiada swój styl i swoją technikę budowy, opiera się na całej poprzedniej budowie aż do fundamentów włącznie. Ani w dziedzinie nauki, ani sztuki, ani w dziedzinie kształtowania naszej postawy społecznej nie można budować w ten sposób, że po prostu neguje się przeszłość, usuwa niższe piętra; w obłokach, w próżni budować nie można. I właśnie dlatego, że mamy do czynienia nie z „Człowiekiem", a z „człowiekiem", ta budowa posiada równie konkretny, a więc powiązany z całą przeszłością charakter, jak i żywy człowiek, będący prawdziwym, nie wyimaginowanym przedmiotem badań historycznych. Obowiązuje to w pełni i w odniesieniu do dążenia do wyższych ideałów szczęścia osobistego człowieka, ideałów wolności, równości, pełnego rozkwitu indywidualności ludzkiej. Ustalenie tego wielkiego ideału i najwyższego celu walki ludzkości jest określone w każdej epoce przez dwa czynniki: a) przez już osiągnięte zdobycze i b) przez realne możliwości ich rozszerzenia w konkretnych warunkach historycznych danego społeczeństwa. Im wyższe osiągnięcia przeszłości, tym wyższe ideały współczesności; w ten sposób walka obecna staje się w pewnym stopniu funkcją walk przeszłości. Jest to jeszcze jeden powód, przemawiający za koniecznością konkretno - historycznej analizy. Wynika bowiem z tego wyraźnie, że wczorajszy humanizm, będący zjawiskiem postępowym w świetle wczoraj istniejących warunków i możliwych ideałów, może być nie tylko przekroczonym etapem z punktu widzenia warunków i możliwości dnia dzisiejszego, ale stać się wręcz wstecznym ruchem, jeśli zostaje praktycznie przeciwstawiony noworozwijającemu się humanizmowi współczesności. Ze zmianą warunków zmieniają się możliwości praktyczne, ideały i oceny.

Adam Schaff

(dok. nastąpi)

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

DWIE ZNAMIENNE KSIĄŻKI

W nieumiejętności wykrycia sensu społecznego utworu literackiego i w nieumiejętności pokazania jego funkcji politycznej w danym czasie widziałbym przyczynę wielu nieudanych, jałowych wypowiedzi krytycznych w Polsce.

Jestem aż zbyt przygodnym krytykiem, abym dać mógł pełną analizę zjawiska literackiego, pełną, a więc obejmującą nie tylko tę pomijaną problematykę, a podstawową dla właściwej interpretacji historycznej i teoretycznej utworu. To też ograniczę się do zwrócenia uwagi na sens społeczny i funkcję polityczną dwu bardzo ważnych dzisiaj pozycyj literackich niedostatecznie docenionych.

I

Z pewnym zażenowaniem snułem własne refleksje na temat katolickiego ruchu umysłowego w Polsce.

Chociaż sądzę, że ruch katolicki w sprawach nauki, dzięki tomizmowi przynosi lekce ważenie aktualnej tradycji poszukiwań humanistyki europejskiej, że usiłuje zainteresowania współczesne wtłoczyć w potok umarłej tradycji myślowej, to jednak w sferze zainteresowań pozapoznawczych człowieka katolicyzm intelektualny odgrywa dziś w Polsce ciągle poważną rolę. Nie korzystają z dorobku myśli chrześcijańskiej uczeni wyjaśniając rzeczywistość, ale korzysta b. wielu wierzących w Polsce rozstrzygając sprawy swego sumienia, swego postępowania. Jestem zdania, iż katolicyzm polski przy dużych wpływach wśród wierzących nie posiada tak postępowego oblicza ideowego, jakby tego można było się spodziewać po namiętnych formułach etycznych jego wielkich pisarzy, mówiących o sprawiedliwości i innych cnotach społecznych. Wydaje mi się, iż kościół w Polsce dojrzał do istotnego przeobrażenia ideowego. Kościół przeżywał wielokrotnie takie zbawienne przełomy. Historia mówi, że motorem tych przemian na ogół bywali świeccy członkowie kościoła. Nawet jeśli wdziewali habity, to zwykle nie pochodzili ze środowiska duchownych, zazwyczaj zbytnio związanych zastanymi konwencjami organizacji kościelnej. Z uznaniem czytam takie artykuły, jak Jerzego Zagórskiego w różnych pismach czy pewne artykuły w „Dziś i jutro". Budzą one nadzieję, że świecki katolicyzm polski przez swoje silne odczucie społecznych treści doktryny chrześcijańskiej, przez akcentowanie obowiązku reform społecznych, doprowadzi do zmiany tego stanu rzeczy, w którym kościół w Polsce, duchowieństwo i urabiani przez nie wierzący aż nazbyt bywali sojusznikami wstecznictwa, zastoju, kiedy cała społeczna ideologia katolicyzmu koncentrowała się na walce z reformą prawa małżeńskiego, t. zn. na walce o utrzymanie opłat na śluby i rozwody do wyłącznego rozporządzenia sług kościoła.

Myślałem o tym z zażenowaniem: Źródło społecznego zaktywizowania katolicyzmu może znaleźć się poza sferami duchownymi. To pachnie herezją. Łatwo być heretykiem na cudzym podwórku.

To też z radością przeczytałem ostatnio szereg francuskich wypowiedzi nieświeckich katolików, którzy w innym rzecz jasna uwikłaniu, jak przystało na duchownych, wysuwają to samo hasło—wykształcenia katolickiej myśli społecznej żywej, postępowej, odpowiadającej historycznym potrzebom dzisiejszej epoki, wykształcenia jej przez świeckich. I to nie tylko myśli, ale i ruchu, rozbudzenia czynnej działalności katolików na rzecz tych reform, które wcielają w życie także nasze demokracje ludowe.

Dla wierzących — reformy w mniejszej mierze są sprawą wiedzy o świecie i prawach jego rozwoju, więcej sprawą obowiązku moralnego.

Budzenie świadomości moralnej to w dużej mierze zadanie literatury.

Problem pisarstwa katolickiego w Polsce jest doniosłym zagadnieniem politycznym.

Nie da się zaprzeczyć, że wśród książek pisarzy zwanych, najczęściej z racji ich życiowych deklaracyj, katolickimi, wiele jest prac jałowych, odznaczających się całkowitym niezrozumieniem człowieka naszego czasu i jego konfliktów. Wiele jest po prostu obojętnych, tradycyjnych i tradycjonalistycznych książek. Bez próby podjęcia rewizji tradycyjnych obowiązków moralnych katolików, bez próby rewizji hierarchii tych cnót i obowiązków, która by wyrastała z dobrego rozumienia potrzeb i konfliktów naszych czasów.

Właśnie dlatego chcę zwrócić uwagę na dorobek pisarski Jerzego Zawieyskiego. Dorobek poważny i ilościowo i jakościowo. Jest to pisarz odznaczający się tą aktualnością społeczną zainteresowań i prac. Pisarz, któremu formułowane wyżej postulaty rewizji są bliskie i zrozumiałe.

Piszę o Zawieyskim z okazji wydania przez niego nowej powieści *).

Nie będzie chyba nieoczekiwanym oświadczenie, iż nie zgadzam się z filozofią tej książki. O ile dobrze zrozumiałem subtelną myśl autora — świat, w którym żyjemy i który nas określa, ukształtowany jest z materiału bezpośrednich osobistych doświadczeń i pamięci o osobistych doświadczeniach przeszłych, a nadto — co ważniejsza — z introspekcyjnej wiedzy o samym sobie. Ta ostatnia jest szczególnie bogata, natrętna — jako głos sumienia decydująca o naszych krokach. Tym niemniej stanowi słaby opór wobec tajemniczych, z nieznanych źródeł pochodzących motywów postępowania, które są zwycięstwem nieczłowieczego, grzechu nad tym co w nas jest godziwe i ludzkie. Bo też i ta nasza samowiedza, nasz głos sumienia bywa niepełny, kłamliwy, niemocny póki go nie oświeci, nie wypełni, nie spotęguje łaska boża, prawdziwy przewodnik.

Tak ukształtowana jest powieść Zawieyskiego: grzesznik, który uległ złemu, jego świat wewnętrzny, niedostępne mu światy wewnętrzne obcujących z nim ludzi, i wspólny dla nich świat, dość nieważny, świat drobnych otaczających kształtów, barw, przedmiotów.

Na drogę człowieczeństwa, obowiązku moralnego, życia, pożytku dla innych wyprowadza łaska boża. Ona rozprasza noc, grzeszną noc samotności, zapoznania obowiązków, odejścia od ludzi w mrok siebie, w egoistyczną niezdolność myślenia o innych, poświęcania się dla nich, cenienia bardziej moralnego obowiązku, aniżeli siebie, swego doczesnego dobrostanu, uzyskanego przez grzech.

Nie wiem, czy dość dobrze, czy w pełni zrozumiałem myśl autora. Artystyczny wyraz jego stanowiska jest doskonale plastyczny i wzruszający. Jest to jednak styl myślenia i postawa tak bardzo mi obca, że mogłem popełnić — chyba napewno drobne — omyłki w interpretacji. Pewien jestem, że nie przeinaczyłem myśli autora zasadniczo. Zbyt wymowna jest jego sztuka, by nie przemówiła dobitnie i do człowieka o zupełnie innej wrażliwości, filozofii, życiu wewnętrznym.

To też sądzę, że mam prawo oceniać znaczenie społeczne i funkcję polityczną tej książki. Brakiem książki jest jej filozofia, wysoką zaletą, poza sztuką pisarską, stosunek do aktualnej problematyki człowieka naszego czasu, intencja moralna książki. Intencja uchwytna i przekonywująca jak myślę, dla każdego wierzącego, który nie ma oporów filozoficznych, zrozumiałych przy lekturze mądrych i uczciwych książek Zawieyskiego, u ludzi mego typu.

Myślę jednak, że moje zarzuty w stosunku do filozofii Zawieyskiego nie są tylko wyrazem jakiegoś psychicznego nieprzystawania. Słabością społecznego katolicyzmu jest niekonkretność i ogólnikowość tej ideologii. Zbyt często mamy tam do czynienia z ogólnikowym postulowaniem triumfów miłości i sprawiedliwości na ziemi, zbyt rzadko z konkretnymi postulatami reform organizacyjnych, ustrojowych, postulatami dotyczącymi przeobrażeń materialnych instytucyj kultury i życia społecznego. To nie chrześcijaństwo wykształciło potężną ideologię postępu czasów nowożytnych, nie w środowisku społecznej myśli katolickiej sformułowane zostały postulaty nowej organizacji stosunków własnościowych, opieki nad pracą, równouprawnienia politycznego, które dziś są treścią wielkich przeobrażeń współczesności. Więcej, na środowiskach katolickich w przeszłości, zwłaszcza politycznych kołach Watykanu ciąży plama egoistycznej walki z wszelkimi konkretnymi instytucjami wolności i równości społecznej. Historia walki papiestwa z liberalizmem politycznym w połowie XIX w., historia stosunku papiestwa do socjalizmu w XX w. mówi o tym wyraźnie. Te tradycyjne opory katolickiej myśli społecznej muszą dziś zostać przełamane, jeśli katolicy chcą być czymś więcej niż biernymi świadkami przemian społecznych, które się dokonywują, jeśli chcą zgodnie z etyką chrześcijańską wejść w życie, przyjmować odpowiedzialność za życie, za drogi, którymi kroczy ludzkość, jeśli chcą rozjaśnić mrok grzesznej nocy samotności, przeciwnej społeczeństwu.

Zawieyski niewątpliwie służy tej dobrej sprawie. Ale jak można konkretyzować swoje społeczne propozycje, jak można jasno jednoznacznie pod względem społecznym i politycznym usytuować swoje postacie, jak można historycznie umiejscowić i historycznie trafnie rozwiązywać ich konflikty, określić wytyczne właściwego nawet pod względem moralnym postępowania, jeśli się uka-

*) Jerzy Zawieyski: „Noc Huberta". Sp. Wyd. „Czytelnik". 1946. str. 215.

zuje właściwie tylko świat wewnętrzny sumienia bohatera? Nie dziwne jest, iż dla czytelnika „Nocy Huberta" do końca realia historyczne są trudne do umiejscowienia.

Przez pisarstwo katolickie typu Zawieyskiego przemawia tego rodzaju zaufanie do człowieka, które ja gotów jestem z materialistycznego punktu widzenia uważać za utopijne. Zawieyski zdaje się sądzić, że wystarczy objaśnić mechanizm sumienia i przezwyciężania siebie, że człowiek, który to będzie umiał robić — bez trudu idąc za tym drogowskazem, potrafi rozstrzygnąć każdy konkretny problem społeczny. Myślę, że historia nas uczy, iż jest inaczej, odwrotnie. Nie wtedy rządzimy godnie życiem, gdy umiemy rządzić sobą zgodnie z oświeconym łaską sumieniem, ale właśnie wtedy dopiero rządzimy godnie sobą, gdy wiemy jak rządzić życiem oświeceni łaską rozumu i doświadczenia.

Jerzy Zawieyski

Ludziom najtrudniej jest rozumieć i rozstrzygać konkretne problemy i obowiązki społeczne. Tu w tych konkretnych sprawach potrzebna jest rada oświeconego i ludzkiego moralisty. Ale, aby skupić uwagę na tych sprawach — pisarz musi pokazywać świat i jego dzieje, musi godzić się na obiektywną wiedzę o tym świecie, nie może poprzestawać tylko na prawdach wewnętrznych zakłamanego i uleczonego sumienia.

Tyle zastrzeżeń materialisty. Tym niemniej sens społeczny i funkcja polityczna omawianej powieści Zawieyskiego wydaje mi się zdecydowanie pozytywną. Tak bowiem należy ocenić postulowany przez Zawieyskiego powrót do życia, do ludzi, do narażania siebie dla społecznego celu. Tak należy ocenić postulat wyjścia z aspołecznej nocy samotności, mówiąc moim językiem — z antyreformistycznego pesymizmu, z uznawania osobistego błogostanu za właściwą miarę wartości na rzecz miar, które tworzy pozajednostkowa dialektyka historii, działanie ludzkie, celowe, reformujące istniejący stan rzeczy.

II

Najbardziej kapitalnym zagadnieniem literackim dzisiaj jest sprawa stosunku (nie tyle czytelników, co pisarzy) do literackiego spadku po dwudziestoleciu. Na ile te tradycje należy kontynuować, w jakim stopniu bez szkody dla rozwoju literatury można z nimi zerwać? Jak dalece pisarze mogą ze względu na konieczności psychologii i socjologii twórczości wyrzec się tego dziedzictwa?

Jerzy Kornacki w swej przedmowie do nowego wydania pierwszego tomu „Poloneza" pisze o niewłaściwym stosunku współczesnej krytyki do literackiego dorobku dwudziestolecia, zarzucającej pisarzom, iż nie stworzyli dzieł wartościowych, a politycznie byli uległym narzędziem w ręku sanacji. Nie miałem możności śledzić wszystkich wypowiedzi krytycznych na temat literatury lat międzywojennych. Wiele przecież czytałem. I myślę, że Kornacki niewiernie powtarza zarzuty krytyków.

Myślę, że wielu lewicowych krytyków godzi się na sąd, iż dwa główne nurty literackie dwudziestolecia: sublimowany psychologizm i wszelkie odmiany nadrealizmu wydały zarówno dzieła wartościowe — jak wyraźnie krytyczne w stosunku do ówczesnej rzeczywistości kulturalnej, społecznej i politycznej. Tym niemniej gatunek tych wartości wydaje nam się dziś niewart ożywienia w aktualnej twórczości. Krytyka zaś owej rzeczywistości nie wydaje nam się niczym więcej jak w przeważającej większości właściwym i nadrealizmowi i sublimowanemu psychologizmowi niekonsekwentnym, antyrewolucyjnym buntarstwem. Te typowe dla ideologii artystycznej drobnomieszczaństwa prądy literackie — nie dały ani trafnej społecznej krytyki, ani przez swój naiwny katastrofizm nie przyniosły perspektyw pozytywnych, spojrzenia na rzeczywistość oczyma nowych, twórczych klas społecznych. To też i z tego względu nie zasługują dziś na kontynuację.

Przypuszczam, że myśli wyłożone powyżej, były formułowane przez innych krytyków

Helena Boguszewska

Jerzy Kornacki

jeszcze bardziej ogólnikowo. Z ich winy mógł nieuprzedzony czytelnik widzieć w nich potępienie literatury dwudziestolecia. Rozumiem, iż to mogło i powinno było razić Jerzego Kornackiego. Bo właśnie z dorobku tych lat książka Heleny Boguszewskiej i Jerzego Kornackiego „Polonez" *) jest pozycją zupełnie wyjątkową. Zatrzymam się tu na tomie pierwszym. Jako przygodny krytyk o nim mam do powiedzenia najwięcej z punktu widzenia polityki. W przyszłości całością tego dzieła zajmie się fachowy literacki sprawozdawca naszego pisma. Dobrze się stało, iż Kornacki nowe wydanie każdego z trzech dotąd wznowionych tomów poprzedził cennymi przedmowami, w których uwydatnia się między innymi genezę polityczną każdej z książek. Jest to ważna pomoc dla czytelników, zwłaszcza młodych, którzy nie znają dobrze historii Polski lat międzywojennych. „Polonez" zaś jest książką mocno zaczepioną o rzeczywistość polityczną tych lat.

Pamiętam jak żywo reagowaliśmy na I tom „Poloneza", gdy się ukazał po raz pierwszy w grudniu 1936 r.

To był szczególnie twardy rok naszych lat międzywojennych. Rok zaostrzenia się walki klasowej w Polsce, zaostrzenia kursu faszystowskiego, rok sławnych strajków i rozruchów. Z tego materiału wyrosła powieść Boguszewskiej i Kornackiego. Powtarzam książka ta zajmuje wyjątkową, zupełnie własną pozycję w dorobku literackim lat międzywojennych. Przyniosła ona cenną prawdę ogólną, narzuconą z wielką siłą zwartego, oszczędnego a sugestywnego wyrazu artystycznego. Przyniosła odkrycie społeczno-polityczne i literackie. Po raz pierwszy w naszej literaturze w I tomie „Poloneza", została ukazana cała społeczna nieprzydatność postępowych inteligentów, wyrosłych z piłsudczyzny, sanacyjnych postępowców, wszystkich radykałów nie związanych ideowo i organizacyjnie z ruchem robotniczym.

Boguszewska i Kornacki dają mądrą, przenikliwą, politycznie bardzo trafną charakterystykę typu i losu tego rodzaju postępowych inteligentów, którzy działanie rewolucyjne chcieli zastąpić „pracą" społeczno oświatową w kraju karteli, kryzysów, faszyzmu.

„Nous Parisiens" to nie jest niestety tylko dramat sanacyjnych postępowców. To również mutatis mutandis dramat większości poprzedniego pokolenia inteligencji polskiej, która tego rodzaju postępowością uspakajała swe sumienie.

Inna rzecz, że Boguszewska i Kornacki w bohaterach swoich widzą raczej tylko jaśniejszy krąg inteligentów-postępowców z „legionową" przeszłością, zdemoralizowanych przez politykę sanacji, politykę frazesu i uległości wobec karteli.

O znaczeniu społecznym omawianej książki stanowi i to, że napisana była już przed 10-ciu laty. Autorzy urzeczywistnili tu najtrudniejsze zadanie literatury, umieli wybiec na przód, umieli rozprawić się na gorąco mądrze i postępowo z aktualnym, szerokim, istotnym dla Polski problemem społecznym. To imponująca książka. Warto ją wznawiać. Trzeba dawać do rąk młodzieży.

Boguszewska i Kornacki bardzo przenikliwie pokazali przyczyny niepowodzeń i jałowości swoich bohaterów.

Ta inteligencja nie umiała nigdy szukać motorów działania postępowego poza obozem rządzącym. Łudziła się ciągle, że zwrot na lewo — będzie zapoczątkowany przez zwartą zgraję faszystowską. Ta inteligencja nie rozumiała samodzielnego ruchu emancypacyjnego klas uciemiężonych. Rozumiała tylko jeden awans społeczny typu „Janka muzykanta". Awans społeczny mogła przynieść opieka i filantropia rządzących.

Inteligencja ta nie znosiła samodzielnej myśli ludowej, tłumiła ją, nie chciała wiedzieć, co chłop i robotnik sądzi o klasach uprzywilejowanych. Nie ceniła tego źródła społecznej, nowatorskiej ideologii. Chciała wszystkiego, całego postępu polskiego doszukać się w tradycji arystokratycznej kultury klas panujących.

Lecz autorzy nie ograniczają się do analizy społecznego i klasowego uwarunkowania działalności tego odłamu inteligencji. Sięgają głębiej. Pokazują również klasowe uwarunkowanie ideologii tych ludzi. „Polonez" bodaj po raz pierwszy z taką jasnością pokazuje że reakcja polska w konsekwencji rozwoju historycznego stała się nie tylko antyludową, ale i antynarodową. To byli naprawdę ludzie bez ojczyzny. Nic im się już z tym słowem nie kojarzyło. To stanowisko narzucali związanej ze sobą ideologicznie inteligencji. Dla pisarzy tego czasu Polska była sprawą dawną, załatwioną, przeto nieważną, troszczyli się o „pełnię życia". To właśnie bezrobotny-internacjonalista wymawiając słowo ojczyzna, widział Polskę bezdomnych i bez pracy, widział sprawę niezałatwioną, najbardziej bliską i własną, wołającą o troskę i reformy.

Lecz jednocześnie ideologia tej samej inteligencji przeniknięta jest drobnomieszczańskim przesądem, że nie ma konfliktów klasowych, są tylko konflikty narodowe. Przesąd ten tłumi rozsądny głos klasowej analizy. Ale zupełnie nie budzi czujności. Dla tej inteligencji Niemcy to bynajmniej nie są groźni hitlerowcy. To poprostu obcy naród, który u siebie może się rządzić jak chce. Nas to nic nie obchodzi. Bo dla inteligencji tej idee nie są ważne. Ginący kapitalizm oduczył ją cenić rozum, teorię, program reform. To wszystko jest doktrynerstwem. Świadczyć ma o ciasnocie duszy. Inteligencja ta lekceważy nawet najgroźniejsze ideologie, a nie wierzy nawet w najbardziej sprawdzalny rozumny plan organizacyjny. Jest czcicielką typowego dla schyłku kapitalizmu eklektyzmu. Ceni sobie tylko bibelociarstwo kulturalne. Szuka rzeczy ciekawych. Wszystko traktuje jako źródło indywidualnych przeżyć. Nie pojmuje transcendentnego, obiektywnego sensu rzeczy, ideologij, kultur, porządków świata. Jest zatruta przez nihilizm rozkładu kapitalistycznego. Nie rozumie i nie chce rozumieć rzeczywistości. Żyje mitami. Nie umie wykryć pobudek działania. To jest najboleśniejsze. Potrafi ocenić zbrodnię jako zbrodnię, ale nie wie dlaczego miałaby z nią walczyć. Potrafi objaśniać świat, nie umie go zmieniać. Zatruta jest idealizmem (w sensie marksowskim) ginącego mieszczaństwa. Skapitulowała, nie umie się bronić przed rozkładem klas panujących, tej do minimum skurczonej bazy społecznej schyłkowego, monopolistycznego kapitału, której panowanie tak było sprzeczne z wszelką racją rozumową, że musiała odmówić wszelkiej ceny rozumowi.

Ta inteligencja żyje izolowana od świata. Raz w subiektywnej samotności swoich ideologicznych złudzeń, dwa w samotności swych oszukańczych, jałowych poczynań na marginesie faszyzmu, a bez związku z ruchem uciskanych, trzy w samotności swego rzekomego ambasadorstwa europejskiej kultury w „dzikim", chłopskim kraju. To też wszelkie próby działania politycznego tych ludzi muszą kończyć się żałosnym fiaskiem.

Książka Boguszewskiej i Kornackiego jest mocna, tragiczna, inteligentna. Pobieżne omówienie zawartości i sensu I tomu „Poloneza", wymownie świadczy o jego bogactwie. Wypowiedziane językiem tylko polityka, nieporadnym wobec wielorakiej i subtelnej struktury dzieła sztuki, tylko w przybliżeniu informuje o tym co mówi czytelnikowi sam utwór swoim nieporównanie bogatszym językiem. To co piszę o „Polonezie" nie ma być barokowym komplementem, ale wyrazem poważnego i głębokiego zainteresowania książką. Nie wszystko mi się w niej podoba. Nie wszystko mi się podoba w pisarstwie Boguszewskiej i Kornackiego. Nie jestem przekonany ich realizmem. Wydaje mi się, iż stosowana przez nich zasada selekcji motywów w powieści nie sprzyja jasnemu sugestywnemu stawianiu problemów społecznych, nie sprzyja uwypukleniu intencyj politycznych książki. Myślę, że właśnie typ realizmu obojga autorów sprzyja zamazywaniu ideowego wyrazu powieści. Autorzy zdają się sądzić, że mówieniu prawdy o świecie sprzyja taka selekcja motywów, która by dawała złudzenie odrzucenia wszelkiej selekcji. Starają się wyłowić i zanotować całe bogactwo przypadkowych, życiowych drobiazgów.

Przyznam się, że wolę tu odwagę starych realistów XIX w., którzy nie ukrywali, że posługują się określoną zasadą selekcji. Ci mistrzowie, podobnie jak uczeni, posługiwali się zdeterminowaną przez wyznawana teorię życia społecznego zasadą: uprawnionej abstrakcji. Odrzucali rzeczy nieważne. Wyraźnie notowali tylko to co uważali za istotne dla ich pojmowania życia i jego motorów. Wyraźnie hierarchizowali obserwowane elementy rzeczywistości. To sprzyjało niesłychanie uwypukleniu ideowego sensu ich dzieł.

Te zastrzeżenia natury estetycznej nie zmieniają oczywiście faktu, że omówiony tom „Poloneza" to książka o niezaprzeczenie postępowym znaczeniu społecznym i pozytywnej funkcji politycznej.

Stefan Żółkiewski

*) Helena Boguszewska i Jerzy Kornacki: „Polonez" I (Nous Parisiens) „Wiedza". 1946. Str. 215.

ROZMAITOŚCI

GŁOS W DYSKUSJI

Leon Kruczkowski ogłosił swoje uwagi na temat Zjazdu Literatów („Nowe drogi" Nr 1). Nazwał to „Głosem w dyskusji", wobec tego będziemy dyskutowali. Kruczkowski skarży się, że na Zjeździe za dużo mówiono o bycie materialnym pisarzy, za mało o sprawach ideowych. Stąd też, zdaniem Kruczkowskiego, pisarze nie dojrzeli właściwego rozwiązania zagadnień swego bytu materialnego. Kruczkowski pisze: „Nie chcemy, aby w Polsce los pisarza, warunki jego egzystencji, zależały od wysokości subwencji państwowych, od zniżek na kolejach, od ulg podatkowych. Robimy to, co jest konieczne, aby twórczości pisarskiej zapewnić byt oparty o szeroką skalę przedsięwzięć wydawniczych, o rozległą chłonność kulturalną mas, o milionowego czytelnika książek. Przekształcamy Polskę gospodarczo i społecznie, aby doznała wreszcie — rewolucji kulturalnej. — Tak stoi zagadnienie bytu pisarza na dziś i na jutro. Z tego stwierdzenia płyną też jasne i proste konsekwencje ideologiczne".

Te proste konsekwencje Kruczkowski wskazuje: pisarz powinien być sprzymierzeńcem Obozu Reformy. Zgadzam się z Kruczkowskim. chociaż poza rozumieniem własnego losu inne jeszcze, potężniejsze motywy, motywy ideowe pchają pisarzy do Obozu Reformy. Tylko nie mogę pojąć, co z tych konsekwencyj wynika dla zagadnień bytu pisarza. Czy sama nadzieja, że nastąpi „rewolucja kulturalna", że zwiększy się chłonność kulturalna mas, urządza pisarza materialnie na dziś, a nawet na jutro? Może by tak warto było z ołówkiem w ręku obliczyć, kiedy nastąpi w Polsce wymarzony okres ekonomicznej waloryzacji pracy pisarza, kiedy literat, który pracuje dwa lata nad powieścią, otrzyma za nią tyle, że będzie przez cztery lata zabezpieczony materialnie wraz ze swoją rodziną? Nie będę się spierał, czy ten wymarzony okres odpowiada realnym możliwościom kraju czy jest tylko utopią, która pozwala konkretne zadania na dziś i na jutro zastąpić pobożnymi życzeniami. W ogólnym zagadnieniu planowej polityki kulturalnej sprawa bytu pisarzy, czyli sprawa wzmożenia długofalowej działalności literackiej nie sprowadza się do opłacalności ekonomicznej ich pracy. Leon Kruczkowski — pozwolę to sobie powiedzieć ze smutkiem — sprowadza zagadnienie polityki kulturalnej do zasad wolno-konkurencyjnej, liberalistycznej gospodarki i chce im podporządkować los pisarza. A pisarstwo bywa rozmaite. Wcale nie pierwszorzędny humorysta za jeden felieton wyciąga w radio i prasie od dziesięciu do dwunastu tysięcy zł., a poeta, którego wiersz zamieszczają w czytankach szkolnych, za to uznanie wartości kulturalno-społecznej swojego utworu otrzymuje 800 zł. Takie felietony można odwalać co tydzień. Takie wiersze nie rodzą się na kamieniu. I to i tamto jest pracą literacką, ale rodzaj pracy nie jest zamienny. Różnicę opłacalności ekonomicznej nadrobić, choćby częściowo, może tylko świadoma i planowa polityka kulturalna, która bierze pod uwagę nie tylko bazę odbiorczą, jak to robi Kruczkowski, ale i materialną bazę produkcyjną.

Przebywałem kilka lat w kraju, gdzie książki osiągają nakłady, o jakich u nas się nie marzy. Nic dziwnego, kraj ten ma blisko dwieście miljonów ludności i w kraju tym dokonała się rewolucja kulturalna. Może to zdziwi Leona Kruczkowskiego, ale w kraju tym istnieje fundusz literacki, którym samodzielnie zarządza Związek Pisarzy. Literaci biorą pożyczki, z których żyją miesiącami albo latami. Zwracają je z honorariów, jeśli mogą zwrócić. A jeśli nie mogą? Zdarzyło się, że Zarząd Związku Pisarzy zniecierpliwiony tym stanem rzeczy, poskarżył się wybitnemu mężowi stanu. Wywiązał się dialog tej treści:

— Czy za te stracone pieniądze w ciągu trzech lat zrodzi się kilka powieści?

— Z pewnością.

— Czy wśród tych kilku powieści będzie jedna niezła?

— Z pewnością.

— Więc opłaci się państwu tracić na ten cel pieniądze.

Tak rozwiązuje się zagadnienia w skali państwowej i społecznej. W kraju stutysięcznych nakładów fundusz literacki może dawać pożyczki zwrotne lub bezzwrotne. W kraju, gdzie takich nakładów nie ma, musi być przyjęta inna zasada popierania twórczości literackiej. Ale nie zasada: „Liczcie na nakłady!" Na to nie trzeba polityki kulturalnej. Wystarczą wydawcy. Wystarczą ich obliczenia i dyktanda, prawa rynku, prawa popytu. Na to nie trzeba głosu Leona Kruczkowskiego.

Adam Ważyk

ADAM WAŻYK

NA DREWNIANYM KONIU

NIE JESTEM recenzentem i nie mam zamiaru pisać sprawozdania z książki Brandysa p. t. „Drewniany koń". — Zainteresowała mnie ta książka jako fakt literacki, który może wywołać wiele nieporozumień. „Drewniany koń" jest produktem osamotnionego młodego pisarza z lat okupacyjnych i tkwi całkowicie w gustach literackich, które straciły u nas swoją rację historyczną. Równocześnie książka ta wchłonęła z czasów powojennych pewne postępowe uświadomienia społeczne. Wynik ostateczny jest bardzo skomplikowany.

CZYJA SPOWIEDŹ

Powieść czy raczej opowiadanie Brandysa pisane jest w pierwszej osobie Jako narrator występuje syn zamożnej mieszczańskiej prowincjonalnej rodziny notariuszów, wychowany w nabożeństwie do konwenansu, samotnik, trapiony lękami, neuropatyczny; ów narrator prezentujący się czytelnikowi jako postać miałka, niezdolna do życia nawet w normalnych warunkach pokojowych, opowiada o zdarzeniach, w które został wplątany podczas okupacji. Najwięcej miejsca zajmują wspomnienia z dzieciństwa i życia rodzinnego przed wojną.

„Wojna tłumaczy wiele. Lecz przeczuwam, że gdy milkną działa, wówczas dopiero wyjdzie na jaw ogrom mojej klęski" — pisze narrator gdzieś na wstępie. Wojna, warunki okupacji uzasadniają przed otoczeniem jego izolowany tryb życia, nerwowe reakcje, spłoszenie. Po zakończeniu wojny wyjdzie przecież na jaw — i to właśnie stara się narrator wykazać — że wszystkie plagi zawdzięcza środowisku, życiu rodzinnemu, predyspozycjom nabytym w dzieciństwie. Według konstrukcji psychologicznej, którą rozwija przed czytelnikiem, przeżycia z dzieciństwa zwichnęły jego rozwój, ukonstytuowały jako typ infantylny, bezradny, neurotyczny.

Narrator Brandysa daje czytelnikowi obraz swojego dzieciństwa pocięty na kawałki. W toku anegdoty okupacyjnej raz po raz cofa się wstecz, zanurza się we wspomnieniach i na fali ich wraca z powrotem do przerwanego toku. — Nie zawsze ta wstępująca fala dobiega grzbietem do chwili bieżącej, często wycieczki w przeszłość wytwarzają w opowiadaniu tylko mechaniczną retardację. Ale sama forma tej budowy, niezależnie od tego, czy dokładnie spełnia w utworze swoją funkcję, odpowiada tezie, w myśl której istnieją w przeszłości człowieka poszczególne wątki matryce wyznaczające stan obecny, wątki te należy wychwytać, wyodrębnić i skonstruować, wykryć w nich prawo powtarzalności.

Opowiadanie zaczyna się od końca.— Nadaje to utworowi charakter spowiedzi. Jak twierdzi narrator, jakaś siła wewnętrzna zniewala go do wyjawienia „ogromu swojej klęski". Ogarnia swoją klęskę interpretacją psychologiczną, góruje nad nią świadomością, osiągając w toku opowiadania pozory obiektywizacji własnej postaci, a równocześnie tkwi w swojej klęsce bezapelacyjnie. Ta dwuznaczna pozycja kojarzy się w pewien sposób — chociaż, moim zdaniem bez uzasadnienia — z amalgamatem stylistycznym: uwagi demaskatorskie pod adresem otoczenia i własnej osoby mieszają się z uroczystym tonem, jakoby uzasadnionym konwencjonalną kulturą samego narratora. Czy zaszły w jego życiu jakieś fakty przełomowe, które by otworzyły mu oczy na lichy wymiar własnej osoby? Raczej nie, ani kontuzja, ani awantura przeżyta podczas okupacji, żaden wypadek nie został w tym sensie podkreślony. Świadomość swojej miałkości sama się niejako klaruje, jako świadomość pewnego fatalizmu, a więc zupełnie bezsilna. Środowisko, wychowanie i dzieciństwo, wszystko służy do motywacji fatalistycznej — Oto jaki jestem, bo taki stać się musiałem! Spowiedź staje się próbą usprawiedliwienia.

Dlaczego i po co ten schyłkowiec urzędniczego mieszczaństwa prowincjonalnego spowiada się przed nami, lamentuje nad swoją miałkością i szuka usprawiedliwienia w fataliźmie? Plasując swojego narratora w tej warstwie i nadając mu bardzo szczególne atrybuty, aż do neuropatii włącznie, autor wzmocnił swój wywód fatalistyczny, ale pozbawił temat ważkości. Choroba narratora może zainteresuje lekarzy; nie wiele powie humanistom.

POD ZNAKIEM HYPERBOLI

Wydaje mi się, że autor powodował się skłonnością do hyperboli. Neurotyczny stan narratora ma być hyperbolą jakiegoś bardziej powszechnego stanu passywności, marazmu duchowego, tego stanu, który niegdyś w literaturze rosyjskiej z wielką precyzją diagnozy społecznej zobrazował Gonczarów w postaci Oblomowa. Podejrzewam to dlatego, że widzę u Brandysa skłonność do hyperboli wszędzie: w obrazowaniu, w refleksjach, w inwokacjach, w całym stylu.

Czy mój domysł jest słuszny, czy mylny, smutny fakt pozostaje faktem: narrator jest chory nerwowo. Mniejsza zresztą, jaką diagnozę postawiłby lekarz, mnie wypada zapytać, jaką korzyść daje to czytelnikowi. W wielotomowym dziele Prousta narrator również cierpi na zaburzenia nerwowe. Tam choroba służy do wysubtelnienia doznawanych wrażeń, którymi Marcel dzieli się z czytelnikiem, tutaj, w książce Brandysa, choroba uzasadnia tylko przewrażliwione reagowanie. Tam towarzyszy jej pogłębiona skłonność do analizy, której możemy ufać, albo nie, tutaj—nagromadzenie ukłuć, zadraśnięć, bólów, wyolbrzymiona fizjologia.

Przytoczyłbym fragment kulminacyjny, ale zajęłoby to za dużo miejsca. Mam na myśli str. 65 z okładem puchnącą od niesamowitych doznań. Narrator zajmuje się swoim stanem chorobliwym, ale bez żadnych intencji analitycznych. Posługuje się metaforycznie materiałem z dziedziny fizjologii, jak to robili 20 lat temu niektórzy ekspresjoniści, gromadzi, potęguje „czucia", doprowadza je do hyperboli. Proza tworzy tu jakąś rakowatę tkankę, pozbawioną podziału funkcyjnego.

Wybrałem przykład szczególnie jaskrawy. Byłoby krzywdą dla młodego pisarza gdybym według tego przykładu sądził o jego smaku. Gdzieindziej proza jest mniej rakowata, bywa bardziej refleksyjna, wyposaża się w aparat intelektualny. Nie bywa jednak analityczna, pomimo tej aparatury. Wielki zasób swojej inteligencji autor zużywa niecelowo: stara się wychwytać poszczególny wątek, jako wielce znaczący, wyodrębnić obraz i nadać mu charakter matrycy — symbolu. Jak w przytoczonym wypadku potęguje „czucia" — tak w innych wypycha poszczególne obrazy deklamatorskim liryzmem, naturalnie na rachunek narratora

Ale są duże partie w tej książce, jak śmierć i pogrzeb ojca, gdzie narracja, umiarkowana, wolna od wirów i zatorów, od kompleksów i konceptów, dochodzi nareszcie do „niepostrzegalnego" stylu, od którego zaczyna się dobra proza powieściowa. Wtedy też inteligencja autora nabiera bezspornej wartości.

PROBLEMATYKA OKUPACYJNA

„Wojna tłumaczy wiele". Tłumaczy samotnictwo, bezwład, płochliwość narratora. Co wojna wnosi do jego życia, z czym go konfrontuje? Nie można konfrontować kreta z zawieruchą. Kret odnajdzie się albo żywy pod ziemią, albo martwy pod drzewem, które go przywaliło. Narrator nie podlega ani zewnętrznym ani wewnętrznym pokusom zetknięcia się z problematyką okupacyjną. Koncepcja człowieka, którą przedstawia Brandys, zespół jego treści duchowych wraz z całą aparaturą dowodów psychologicznych — przypadkowo dożył do czasów okupacji. To właśnie jedna z tych literackich koncepcji człowieka, które wojna skompromitowała. Chcąc ją poratować, autor musiał umieścić swojego narratora w izolowanym kręgu, a i w tej sytuacji nie mógł nic lepszego zrobić, jak odkonkretniać w miarę możności życie okupacyjne. Trzeba przyznać, że narrator robi to metodycznie. Przez kilkadziesiąt stronic starannie unika słowa: Niemcy. Choćby tym jednym wybiegiem powinien sobie zasłużyć na uznanie w tych sferach, gdzie lęk przed konkretnością uchodzi za dowód „artyzmu".

A jednak zjawia się w książce motyw polityczny. Co więcej, organizacja polityczna. Narrator dostaje się na zebranie grupy faszystowskiej, która planuje zamach na niemieckiego gubernatora. Faszyści muszą się czymkolwiek wykazać, traktują ten zamach jako pewną konieczność taktyczną, poza tym uważają, że Niemcy chlubnie wykonują ich program, mordując Żydów i tępiąc bojowców demokratycznych. Po pewnym czasie narrator wskazuje czytelnikowi, że grupa ta rekrutuje się z tych samych drobnomieszczańskich wyrostków, których widywał na spacerach. — Na zebraniu ujrzał ich obnażone tajdactwo. Zamach zresztą nie doszedł do skutku, wszyscy stchórzyli.

Nieco uproszczony, ale słuszny bądź co bądź komentarz pozostaje tylko komentarzem. Wizja zebrania nie ma żadnych realnych powiązań z miasteczkowymi spacerowiczami. Prawa procesów rzeczywistych są zaznaczone, ale nie działają. Założenia moralności osobistej górują nad wątkiem politycznym. O sformowaniu się grupy faszystów zdecydował wyłącznie dobór naturalny tajdactwa, tchórzostwa, chciwości pieniądza i władzy. O tym, kto ma być ich przywódcą, zdecydował spryt oszusta.

Anegdota o zamachu ma krój groteskowej awantury, jej sens polityczny rozpływa się w motywach prywatnych i kryminalnych. Mimo to można bronić jej trafności politycznej, ile że w pewnym stadium degeneracji w grupach faszystowskich bierze górę treść kryminalna (wystarczy uprzytomnić sobie kilka procesów sądowych).

Sam narrator myśli tylko o tym, żeby planowany zamach nie wywołał represji ze strony niemieckiej. Trudno, autor kazał mu być przecież postacią miałką i lichą. Obiektywnie, pod pozorem tych cech charakteru, narrator reprezentuje tu ideologię tych warstw drobnomieszczańskich, które prosperowały za okupacji, korzystając z wymordowania Żydów i z paradoksów „gospodarki wyłączonej" (termin ze znanego studium Wyki), a które tak się właśnie do akcji bojowej odnosiły.

Znajdziemy przeciwwagę. Tylko, że nie polityczną, ale moralną. Prosty człowiek zasypał Niemców granatami. Zginął w porywie instynktu patriotycznego, wbrew wszelkim planom, w akcie spontanicznym, irracjonalnym — bo w stanie nietrzeźwym

Pozostawiony sam sobie, prosty człowiek w jednym błysku natchnienia staje się bohaterem. Oto przeciwwaga faszyzmu, która może liczyć na najszersze uznanie, bo przeciwwaga wyłącznie moralna. Nikt mu przecież nie może zarzucić, że należał do jakiejś organizacji. Nikt go nie może posądzić o jakąś rozwiniętą świadomość działania. Oto pozytywny bohater historii, bo możliwości innego bohaterstwa w „Drewnianym koniu" niestety nie widać.

Za ten typ bohaterstwa odpowiada już chyba nie narrator, ale autor.

WCALE NIE „FERDYDURKE"

Zebranie organizacji faszystowskiej dało narratorowi okazję do odegrania roli gogolewskiego rewizora. Upajał się przez chwilę urojoną władzą za cenę ogromnego wyczerpania nerwów. Pomimo określonej treści politycznej, obraz tej sceny, groźny i śmieszny, nie z tej planety, groteskowy motyw uzurpacji, odgrywanie nie swojej roli, wszystko to przypomina mi „Ferdydurke" Gombrowicza. Nie jest to podobieństwo sporadyczne. Podobieństwo rozmaitego rzędu błąka się po całym utworze: w budowie, w motywach, w charakterze wizji, w stylu. Więc — narracja w pierwszej osobie, narrator skupiający w sobie cechy wspólne środowisku, poszukiwanie motywacji w „infantyliźmie", siła konwenansu, choroba ambicji, czułość na opinię, poranienie psychiczne człowieka przez wyśmianie, pojęcie działania obracającego się w próżni, skłonność do hyperboli, styl uroczysty aż do inwokacji włącznie.

Nie idzie mi wcale o to, czy Gombrowicz oddziałał na Brandysa i w jaki sposób oddziałał. Ważniejsze jest co innego: brak istotnego podobieństwa. Książki te mają odmienną problematykę. Te same jakoby pojęcia zmieniają sens, podobne środki spełniają inne funkcje. Porównanie z Gombrowiczem będzie pożyteczne dla wykazania tych różnic.

„Ferdydurke" było książką satyryczną, szyderczą, jadowitą, atakowało nadbudowę obyczajową i kulturalną, która utrzymywała się w Polsce przedwrześniowej w kompletnym oderwaniu od podstawowych warstw narodu. W powieści Gombrowicza dziwaczny system obyczajów, pojęć, norm towarzyskich, przepisów postępowania, zakrzepły konglomerat kultury szlachecko-mieszczańskiej działał jakoby samoistnie, nie wiadomo na czym się trzymał, nie wiadomo dlaczego obowiązywał. Narrator, podlegając temu systemowi, przez spotęgowanie i hyperbolę doprowadzał go do absurdu. Nie bez kozery książka kończyła się gremialnym mordobiciem chłopskim. „Ferdydurke" miało znacznie głębszą rację satyryczną, niż to wydawało się w latach, kiedy chciano dojrzeć w tej książce tylko groteskowy okaz „kreacjonizmu" i tylko bardzo uczeni ludzie, którzy nie umieją czytać po prostu, wymawiają jeszcze dzisiaj jednym tchem nazwiska Gombrowicza i Szulca. Czy ta nadbudowa obyczajowo kulturalna, wybrzuszona nad krajem chłopskim, nie była czymś dziwacznym, absurdalnym, jakimś wydętym balonem w pustce? Wielka Reforma przekłuła balon, ale nie łudźmy się, jeszcze nie opadł, flaczeje bardzo powoli. Bo też historia okazała się łaskawsza niż „Ferdydurke", obeszła się bez gremialnego mordobicia.

Ulubionym konikiem Gombrowicza był „infantylizm' Autor prywatnie naprzykrzał się znajomym, interpretując to pojęcie psychologicznie, tymczasem w „Ferdydurke" to pojęcie wcale nie mieściło się w sferze psychiki jednostkowej, obejmowało pewne cechy obyczajowości i praktyki powszechnej. — W świecie dorosłych według „Ferdydurke" panowały te same obyczaje, motywy działania, formy współżycia i rywalizacji, co wśród uczniaków w szkole, sztubackie stawianie się, umowne zapasy, wyśmianie bliźniego jako wyrok śmierci cywilnej. Według „Ferdydurke" choroba ambicji, czułość na opinię występowała jako powszechny produkt zawiłych umów hierarchii towarzyskiej. Konwenans był formą życia, a nie —jak u Brandysa — parawanem, za którym trzeba szukać jakiejś ukrytej prawdy. Uroczysty styl „Ferdydurke" wyraźnie persyflował tradycjonalistyczną dentologię i barokowe schorzenia naszej kultury.

W „Drewnianym Koniu" elementy kulturalno - obyczajowe stają się treścią przeżyć jednostki, jej kompleksów psychicznych motywami jej neurozy. — Problematyka Gombrowicza nie występuje u Brandysa. Powstaje fantastyka psychologiczna, rodzi się symbolizm świata wewnętrznego, mitologia kompleksów duchowych.

KONIK INTELEKTUALISTÓW MIESZCZAŃSKICH

Swojego czasu w carskiej Rosji postać Oblomowa określała pewien typ społeczny. W postaci narratora nie odnajdujemy typu społecznego z ostatnich lat przedwojennych. Nie wiemy, dlaczego motyw drewnianego konia ma wyznaczać jego charakter i los, dlaczego obraz wyśmianego chłopca mieszczańskiego, który nieruchomo galopuje w siodle, zmieniony w „pomnik własnego dramatu", urasta do symbolu i nabiera fatalistycznego znaczenia. Czy nie jest to los osamotnionych, bo oderwanych od praktyki społecznej intelektualistów mieszczańskich? Autor uplasował swojego narratora w pewnym miejscu socjalnym, pozbawił go przydziału życiowego i wszelkich innych zajęć poza pisaniem spowiedzi. Syn notariusza zajmuje się właściwie pracą literacką. Tylko że zamiast spowiedzi artysty pisze spowiedź degenerata opartą na fantastyce psychologicznej.

Nie można rozprawiać się z postawą intelektualistów mieszczańskich, przyjmując ich metodę: tą metodą jest właśnie konstrukcja psychologiczna, zastępująca związki świata rzeczywistego, anatomia duszy, szperanie w predyspozycjach, układanie przeżyć osobistych w ciąg przyczyn i skutków, matryc i odbitek. Tak się cwałuje na drewnianym koniu, tak manewruje się wielką aparaturą intelektualną w próżni.

Narrator góruje świadomością nad swoimi przywarami, a poddaje się im bezapelacyjnie. Autor góruje świadomością nad drewnianym koniem intelektualistów mieszczańskich i nie schodzi z siodła. O jego uświadomieniu społecznym świadczą poszczególne rozsiane w tekście komentarze. Gdyby uświadomienie przeniknęło nieco głębiej, pękłoby hamletyczne deklamatorstwo i koń drewniany rozleciałby się na kawałki

Wspomniałem już o fatalistycznych koncepcjach tej książki. Czy odnoszą się one do konstrukcji psychologicznej, czy do czegoś innego, nie widzę w tym istotnej różnicy, tym bardziej, że książka zawiera elementy spowiedzi intelektualisty, pisarza, artysty. Fatalizm w tym kontekście jest obroną hamletycznej pozycji na drewnianym koniu.

Książka Brandysa była poczęta z pewnych doświadczeń literackich lat międzywojennych, wypłynęła z zawiłego nurtu ówczesnego nowatorstwa, buntu i rozbicia, wizyjności i drwiny, fantastyki i kreacjonizmu. Była poczęta jako późny płód, formujący się u schyłku tych czasów. Dążyła ku tym samym ostatecznościom, które wydają obecnie „czarną literaturę" w krajach, gdzie nie dokonała się lub nie umocniła jeszcze wielka przemiana społeczna. Brandys szedł ku „czarnej literaturze" i gromadził odpowiedni arsenał środków literackich, gorszych lub lepszych, gorszych, kiedy szukał jątrzącej ekspresji, lepszych, kiedy próbował budować fantastyczne konstrukcje psychologiczne. Reforma przecięła mu drogę, wnosząc całkowitą zmianę perspektyw ideowych i literackich. Nie jest sprawą przypadku, że ludzie z tego nurtu literackiego zdecydowanie stają w rewolucyjnym Obozie Reformy. Mają najmniejsze opory w sferze poglądów i pojęć społecznych, za to czekają ich duże opory w sferze twórczości artystycznej. Mogą borykać się z nimi, jak długo chcą, nikt ich nie forsuje. Jednego tylko przywileju należałoby się wyrzec. Prawa do roztkliwiania się nad własnymi oporami.

ADAM WAŻYK

ZYGMUNT MYSŁAKOWSKI

PROBLEM REEDUKACJI NIEMIEC

NIE WSZYSCY zdają sobie w pełni sprawę z tego, jak dalece w wyniku różnych procesów historycznych zmienił się i zmienia się dalej ciężar gatunkowy zagadnień europejskich. My, mieszkańcy tego lądu, przywykliśmy patrzeć nań jak na centrum świata, jak na miejsce, którego losy wywierają decydujący wpływ na resztę świata. Tak było może istotnie przez pewien czas, gdy przewaga uzbrojenia i rozwijająca się w zawrotnym tempie technika przemysłowa dawały nam uzasadnione o tyle o ile poczucie naszej wyższości.

I oto dzieje się na oczach niemal naszego pokolenia sprawa niezmiernej doniosłości historycznej. Rzeczywista przewaga już nie jest po stronie Europy. Potężne ośrodki siły militarnej, najwyższe skupienia potencjału gospodarczego przenoszą się stopniowo do innych kontynentów.

Na tle rozgrywek, obejmujących przestrzenie globowe, zagadnienia europejskie maleją bardzo znacznie. Jest to już obecnie tylko dodatkowy teren historii.

W obrębie tego terenu europejskiego zagadnienie niemieckie nie istniałoby właściwie, gdyby nie to, że w wyścigu mocarstw o przyszłe bazy i pozycje wypadowe nadaje się im znaczenie, jakiego by nigdy same przez się w dopuszczalnych granicach przewidywania nie odzyskały. Obok Islandii, Hongkongu, Singapuru, Korei, Balearów czy archipelagu Galapagos, również i ojczyzna Goethego może stać się kiedyś jakimś przyczółkiem a konwulsyjnie miotający się histeryk niemiecki może jeszcze raz dostać ataku. Ta groźba, prawdopodobnie dość znikoma w skali światowej, nabiera specyficznego znaczenia ze stanowiska najbliższych sąsiadów Niemiec, do których i my mamy wątpliwą przyjemność się zaliczać. Zwłaszcza zaś my, ponieważ człowiek niemiecki jest opanowany od dłuższego czasu ideé fixe zbudowania sobie kolonii — w braku krajów zamorskich — na ziemiach słowiańskich. Raz udało im się to przedsięwzięcie na ziemiach Słowian Zachodnich, z których już tylko nikłe resztki pozostały; dziś próbowali to samo powtórzyć z Czechami i Polską. Dopóki Niemcy, nieutuleni w żalu po stracie ostatnich szans zbudowania imperium z krajów zamorskich, będą zwracali tęskne oczy na „tajemniczy, bezkresny Wschód", „ziemię niemieckich przeznaczeń", jak to patetycznie określali sentymentalni wyznawcy nowoczesnego derwisza z Berchtesgaden.

Tak więc należy liczyć się z pogrzebanym, zdawało się, upiorem, jakim jest problem niemiecki. Należy liczyć się z tym, że na miejsce zlikwidowanego derwisza powstanie z czasem mnóstwo małych derwiszów, dookoła których Niemcy rozpoczną znów swój taniec świętego Wita. Nie na żarty przestraszeni na początku wojny imperialiści angielscy pokazali co potrafią, jeszcze raz ukazując światu wysoką klasę gry. Ale strach inwazji przeszedł, pozostała troska, która imperialistom w stylu Amerego lub Churchilla spędza sen z powiek. Wypowiedział ją całkiem wyraźnie Churchill, niewiadomo czy bardziej pod adresem Związku Radzieckiego, czy raczej Stanów Zjednoczonych: nie jestem tu od tego, aby przyczyniać się do likwidacji Imperium Brytyjskiego. Więc też w kąt poszły radykalne pomysły niektórych angielskich polityków czasu wojny zlikwidowania na serio niebezpieczeństwa odrodzenia się niemieckich majaczeń o potędze.

Jakże w świetle tych tendencyj przedstawia się sprawa słynnej „reedukacji Niemiec?"

Czy jeszcze można w ogóle o niej mówić?

Powieszono kilkunastu generałów i polityków, odsunięto od funkcyj państwowych kilkanaście tys. Parteigenossen, wywieziono sporo fabryk przemysłu wojennego, zniszczono sprzęt wojeny, wydrukowano pewną ilość podręczników szkolnych, zaangażowano pewną liczbę nowych sił nauczycielskich. Okupacja wojskowa trwa. Oto bilans dotychczas zastosowanych w strefach angielskiej i amerykańskiej środków. Jest to dużo i mało zarazem. O wiele za mało.

Problem demokratyzacji Niemiec jest dla tego szczególnie trudny, że odrodzenie i demokratyzacja może przyjść tylko od samych Niemców a tymczasem w masie Niemców brak jest obecnie tych właśnie elementów, od których można by zwrotu oczekiwać. Zostały one w ciągu panowania Hitlera i jego generałów wymordowane, wykończone w obozach koncentracyjnych, lub też sterroryzowane i zdemoralizowane. Kto przetrzymał fizycznie, jest zdeprawowany i wykoszlawiony moralnie. Żaden naród nie może odrodzić się wyłącznie przez akcję z zewnątrz. Siły zewnętrzne mogą jedynie pomóc siłom odrodzeńczym wewnętrznym; musi powstać w chorym organiźmie wola wyzdrowienia, musi naród niemiecki przejść przez oczyszczające poczucie winy. Na te objawy wyzdrowienia, jak się zdaje, czas jeszcze nie przyszedł. Niemcy uznają tylko swoje i swego wodza **pomyłki,** ale nie swoją **winę.** Mieliśmy w gruncie rzeczy rację, tylko V1 i V2 przyszły zapóźno, a także z bombą atomową wyprzedzili nas ci Amerykanie. Dopóki ten sposób myślenia nie ulegnie zmianie, dopóty nic się właściwie w psychice niemieckiej nie zmieniło.

Drugą trudność przeobrażenia Niemiec na państwo europejskie jest sprawa zdziczenia młodzieży niemieckiej, tej, która dojrzewała w klimacie hitleryzmu. Tej której brała udział w organizacjach, tej która uczyła się pogardy w krajach okupowanych, którą wychowywano w romantyzmie noża, tej, którą zachęcano do denuncjowania rodziców i nauczycieli, wobec władz partyjnych, którą wychowano w nienawiści do wszystkiego co nie-niemieckie. Tej, którą wychowano w swoistym romantyzmie zbrodni i w negacji wszystkiego, co uniwersalne, ogólnoludzkie, objektywne, intelektualne.

Trzecia trudność polega na tym, że chcąc leczyć chorego, nie należy walczyć tylko z następstwami choroby, lecz z jej źródłem. Otóż źródło niemieckiego tańca św. Wita leży w niedostosowanych do dzisiejszej rzeczywistości wzorach społecznych, którymi zarażony jest ten naród. Potęga Niemiec współczesnych wyrosła z potęgi pruskiego wzoru społecznego, ten zaś z kolei powstał w wyniku udanych imprez kolonizatorskich w samym środku Europy. Pierwszym etapem były Marchje wschodnie na ziemiach Słowian zachodnich. Następnym etapem było wgryzienie się w teren plemienny Polski i założenie jedynej w dziejach enklawy wschodnio - pruskiej. Dzięki wadliwej strukturze społecznej Polski, która wytworzyła u siebie z biegiem czasu opartą na bezwzględnej hegemonii warstwę szlachecką, sytą społecznie i wegetującą na niewolnictwie chłopa i nędzy mieszczanina, Polska, jako państwo nie przejawiła ani dostatecznej dynamiki, ani nawet wystarczającej do istnienia ostrożności politycznej i niezbędnego potencjału gospodarczego. (Niemal całkowity ciężar utrzymania państwa został przerzucony na barki najbiedniejszych ponieważ szlachta stopniowo uwolniła się od płacenia najważniejszych podatków i ciężarów.) Wśród tych okoliczności utraciliśmy podstawę bogactwa, ziemie śląskie, i nie potrafiliśmy zlikwidować enklawy pruskiej, która z kolei musiała dążyć do zlikwidowania swego antagonisty — Polski, korzystając z każdej jej chwili słabości. Junkrzy pruscy stworzyli wzór społeczny, oparty na twardej karności, wyzysku pracy obcej, wzór państwa kolonialnego w samym środku Europy. Powodzenie tego wzoru (nie bez patronatu Anglii) doprowadziło z czasem do hegemonii Prus nad całymi Niemcami i rozprzestrzenienia się na cały naród mentalności kolonizatorskiej i konkwistadorskiej. Łącznie z potęgą przemysłową Niemiec zachodnich dało to w sumie państwo Hitlera. Niedarmo jeden z czołowych ideologów hitleryzmu, profesor Ernst Krieck, pedagog, nauczał, że większe wartości tkwią dla narodu niemieckiego w koszarach Fryderyka Wielkiego, niż we wszystkich pismach Goethego.

W jakim więc sensie można mówić o „reedukacji" Niemiec? Czy te środki, które zastosowano dotychczas, zwłaszcza w strefach okupacji anglosaskiej, są wystarczające?

Nie. Istota zagadnienia leży wyłącznie w głębszej warstwie zjawisk, niż ta, do której dotąd sięgnięto. Nie może być mowy ani o odrodzeniu wewnętrznym Niemiec, ani o ich reedukacji, czy demokratyzacji, bez przeobrażenia struktury społecznej i bez zniszczenia raz na zawsze tego wzoru społecznego, który od wielu lat kształtował psychikę niemiecką.

Należy zniszczyć podstawę gospodarczą warstw obszarniczych przez parcelację większej własności ziemskiej i obciąć głowę kapitalizmowi, który pchał do awantur imperialistycznych naród niemiecki. Przeszkolenie warstwy nauczycielskiej wydanie nowych podręczników, to są rzeczy użyteczne, ale nieistotne — dobre tylko w połączeniu z podstawowym przegrupowaniem społecznym, bezwartościowe i nieskuteczne przy zachowaniu dawnej struktury gospodarczej.

Narody nie są zwartymi jednostkami rasowymi, nie mają w swojej psychice wyciśniętych raz na zawsze znamion, wad, czy zalet; nie istnieje żadne biologiczne fatum, które by pędziło je ku zgubie lub rozkwitowi.

Niekiedy, jak w przypadku Niemiec, wyhodowane zostają wzory społeczne, niebezpieczne dla reszty świata i prowokujące ją — w tym wypadku nie pozostaje nic innego, jak zastosować sankcje skuteczne przez wprowadzenie nowych wzorów społecznych, zdolnych uczynić charakter danego narodu bardziej normalnym. Norma zaś oznacza w tym wypadku taki zespół cech, które warunkują danej istocie harmonię z sobą samą i nie zakłócają jej stosunków z innymi istotami.

Najazd, klęska, wojenna, degeneracja spowodowana zbyt długim krzyżowaniem się w obrębie tej samej grupy, utrata podstawy ekonomicznej, rewolucja, zmienione głęboko warunki geopolityczne — każdy z tych czynników może odegrać rolę destruktora cech „reprezentatywnych" wyznaczających „charakter narodu" i każdy może otworzyć w ten sposób wolną drogę dla ukształtowania się nowego charakteru.

Zygmunt Mysłakowski.

TRYBUNA WOLNOŚCI - tygodnikiem

ilustrowane czasopismo polityczno-społeczne

W numerze 1 (109) przynosi:

JÓZEF KOWALCZYK — „Co dalej?"
ŻANNA KORMANOWA — „Frontem do oświaty".
STEFAN TARNOWSKI — „Jak okiełznać imperializm niemiecki?"
ALEKSANDER LITWIN — „Na marginesie procesu Rzepeckiego".
OSTAP DŁUSKI — „Lenin a Polska
i inne".

Stałe działy:

z tygodnia na tydzień, na widowni międzynarodowej, ruch robotniczy za granicą, z życia partii, wśród książek.

Do nabycia we wszystkich punktach sprzedaży dzienników i czasopism. Cena Zł. 8.

JAN HUSZCZA

ilustrował K. Sosnowski

Magister Karasek zostaje burmistrzem*)

POWAŻNIE obawiamy się zarzutu, iż przedstawione przez nas życie w Zapadnikach jest nudne, pozbawione nadzwyczajnych wypadków, zdolnych poruszyć wyobraźnię i pobudzić serce do żywszego bicia. Cóż, to chyba najpewniej zrządzenie losu i taki układ stosunków produkcyjnych, że Zapadniki z pośród wielu innych naszych miast i miasteczek niczem szczególnym nie potrafiły się wyróżnić. Nie wdając się w szczegółowszą analizę tego zjawiska, poprostu stwierdzamy, iż tak, niestety było.

W Gardziszkach naprzykład mąż zamordował żonę, kochankę i troje dzieci. Nic podobnego nie zaszło w Zapadnikach. Być może, ten i ów, oprócz żony i trojga dzieci, miał także kochankę, ale jakoś nikogo nie mordował. Brak woli do powzięcia decyzji czy poprostu karygodne lenistwo i zacofanie?

W Wycierajkach pop powiesił się w Cerkwi na Ikonostasie, w Zapadnikach — był wzorowym duszpasterzem, regularnie celebrował wszystkie modły, a jeśli co można mu było zarzucić, to chyba tylko zbytnią słabość do kieliszka. Słabość ta jednak ogarniała go nie częściej, niż cztery razy w tygodniu i nie w takim silnym stopniu jak psalmistę Mirona Aleksandrowicza, który pewnego razu tak doszczętnie potrafił wyzbyć się własnych dóbr materialnych, iż w poszukiwaniu alkoholu dla złagodzenia kociokwiku wyssał spirytus ze wszystkich siedmiu termometrów, należących do cerkiewnych ruchomości, a na to miejsce nalał atramentu.

W mieście wojewódzkim dziennie notowano do trzech wypadków samochodowych, w Zapadnikach, chociaż był jeden samochód, oraz motocykl (doktora!), to przecież nikogo nie przejechano...

Ale możeby rzeczywiście zainteresować się jednym z domniemanych kandydatów na burmistrza doktorem i jego motocyklem, bo to jednak trąci trochę wczesnym, wiosnę zapowiadającym romantyzmem i niezwykłością, gdyż oprócz doktora i motocykla wystąpią: noc, kobiety, wilgotna przestrzeń oraz, kto wie, może namiętność.

Doktór (stan cywilny: kawaler) był dyrektorem szpitala, chorzy naogół mieli do niego zaufanie, gdyż niejednemu z nich szczęśliwie wyciął wyrostek robaczkowy, nie zawsze nawet — co należy tłumaczyć rozrzutnością młodości — domagając się honorarium. Prawdopodobnie ze względu na tę bezinteresowność poważnie mówiono o nim jako o kandydacie na nowego burmistrza, chociaż dotychczasowe próby zainteresowania lekarza życiem społecznym spełzły na niczem. Zapytany, czemu nie zapisze się przynajmniej na członka Ligi Obywatelskiej kobiet uśmiechał się (a umiał uśmiechać się!) i machał lekceważąco ręką: „Obejdą się beze mnie!" Owszem, obchodzono się, jednak to nie usprawiedliwia: taki członek bardzoby się obywatelskim kobietom w ich pracy przydał.

Głosy na doktora zdobywali wśród radnych dyrektorowa i Pawluśkiewicz (oboje bez wyrostka robaczkowego!)... Jeśli natomiast chodzi o osobę Karaska, to nie obyło sie bez drukowanej propagandy. Na parkanach obok reklam aspiryny Bayera i tabliczek z intrygującym napisem „Venera gum... Prophilactic" pojawiły się prostokątne skrawki papieru zawierające wezwanie: „Chcesz zwycięstwa Polski mocarstwowej, wybierz Karaska na burmistrza!"

Ale narazie mówiliśmy o doktorze. Wieczorami doktór lubił dłuższe wyprawy na motocyklu, odczuwał bowiem osamotnienie a może chciał zjednywać ludzi dla idei motoryzacji, gdyż chętnie na te trwające do świtu niekiedy wycieczki zabierał ze sobą młode kobiety, lubiące warkot i pęd.

Nie wszystkie wyprawy udawały się, gdyż były wypadki, że pasażerki, zrazu tak zapalone do jazdy motocyklem, nie chciały z doktorem wracać, wybierając pozostawanie w szczerem polu do świtu, by potem przyjechać do miasteczka — jeśli było zbyt daleko — wynajętą furmanką, albo wrócić pieszo, niekiedy z płaczem.

Różnie o tym mówiono, Chcąc naświetlić sprawę wszechstronnie — a stale przyświeca nam taka intencja — musielibyśmy podać dwie, krążące od roku, wersje.

Jedna — córki Kwaśkowiaka — łącznie ze łzami brzmi następująco: „Ten bydlak — buuu — odwiózł mnie ze trzydzieści — buuu — kilometrów — a potem kazał zleźć — buuu — z siodełka i żebym się rozbierała — buuu — co gdy nie — to on zawrócił motocykl, siadł, powiedział, jeśli tak, to te trzydzieści kilometrów wracaj pieszo — buuu — zawarczało i pojechał — buuu..."

Druga wersja — należąca do pracującej w magistracie siostry Wójcikiewicza — była znacznie mniej dramatyczna: „Poprostu, zabrakło benzyny, więc powiedział, że jego jednego jakoś motocykl dociągnie, a ja żebym szła do wioski i przenocowała"...

Na ogół — i to chcemy dobitnie podkreślić — wbrew powyższym wersjom, kobiety wracały z wycieczek zadowolone, na siodełku lub w przyczepce, nietylko nie utyskując na drogę powrotną, ale właśnie chwalące dżentelmeński sposób bycia towarzysza.

Dlatego nie jesteśmy w stanie zrozumieć tych, którzy zapytani o cały szereg pań z zapadnikowskiego towarzystwa, odpowiadali pełni zgorszenia: „To łachudry i szlaje, niektóre z nich już po trzy razy jeździły z doktorem"...

W wieczór poprzedzający wybory na burmistrza, doktór, zamiast przygotować przemówienie, zechciał skorzystać z pierwszego ciepłego wieczoru, zapowiadającego bliskie zniknięcie wszystkich śniegów, i wyprowadził przed szpital swój motocykl z przyczepką, okrytą brezentem.

Usuwał jakiś defekt, gdyż przez dłuższy czas zapuszczał i głuszył motor. Gdy wreszcie wyprostował się, żeby otrzeć pot z czoła, stanęła przed nim w wiosennym płaszczu Zinaida niezalegalizowana (nie chcemy być konserwatystami i mówić „kochanką") żona właściciela „Esplanady", Borowika:

— Pan doktór na spacer?

— Na spacer!

— A ja mogę skorzystać z uprzejmości? — i uśmiechnęła się, ukazując dwa złote zęby, z których była niezwykle dumna.

— Jeśli i może pani, to co na to mąż?

— Wyjechał po wódkę do powiatu!

— Ale ziemia jeszcze prawie wszędzie pokryta śniegiem, gdzieniegdzie leży lód, więc nawet nie będziemy mogli wypocząć...

— Nic, znajdziemy miejsce dla wypoczynku — zalotnie mrugnęła — zresztą, ma pan brezent...

— No, to proszę siadać...

Zinaida ulokowała się w przyczepce, doktór nacisnął starter, błysnął reflektor: skacząc po wybojach, pojechali przez Aleje Poniatowskiego, gdzieniegdzie rozpryskując resztki porowatego śniegu.

Nie rozwiał się jeszcze zapach spalonej benzyny i trwał milknący w oddali warkot, gdy przed szpitalem pojawiła się zdyszana dyrektorowa. Na ławeczce koło trupiarni, wesoło pośpiewując odpoczywały posługaczki, szpitalne, więc dyrektorowa do nich:

— Czy doktór u siebie?

— Pojechał!

— Sam?

— Nie! Z Zinaidą od Borowika...

— O, Boże zapóźno! — wyszeptała dyrektorowa i zniknęła w ciemności, zostawiając zgorszone posługaczki i same niepokojące domyślniki. Czyżby i ona chciała jechać? Motocyklem? Przez bezksiężycową noc? W tym podeszłym już wieku?

*

Nadszedł wreszcie dzień wyborów nowego burmistrza.

Nim przejdziemy do bezpośredniego opisywania tego doniosłego w dziejach Zapadników wydarzenia, winni jesteśmy wyjaśnienie, dotyczące owej dwuznacznej sytuacji, w jakiej przed szpitalem wobec posługaczek a w następstwie, za ich czynnem pośrednictwem i wobec całej elity miasteczka — postawiła siebie dyrektorowa.

Dwuznaczność była, rzecz jasna, pozorna, a sytuacja nie miała nic wspólnego z posmakiem awantury miłosnej, gdyż dyrektorowa, ze względu na swój wiek, była osobą, w której już dawno ucichły wszelkie możliwości burz i niespodzianek tego gatunku, żywo natomiast interesowała się życiem społecznym, zwłaszcza od chwili, gdy usłyszała, iż znienawidzony przez nią Karasek miał zostać burmistrzem.

A usłyszała o tym zupełnie przypadkowo, dzięki otwartym zbyt wcześnie jak na porę roku oknom „Esplanady", wychodzącym na ogródek z krzewami.

Zapadała granatowa ciemność (doktór właśnie wytaczał swój motocykl ze szpitala) a pani dyrektorowa, niosąc pół kilograma sera holenderskiego i pudełko szprotek na kolację, szła drobnym kroczkiem, uprzejmie odpowiadając na pozdrowienia, w kierunku ogniska domowego przy ul. Ogrodowej 27 (dzwonić w cynkową blachę!) Z wnętrza „Esplanady" dobiegły ją intrygujące odgłosy jakiejś rozmowy. Po głosach poznała, iż brali w niej udział komendant, Borowik i Zinaida.

Nieprawdą jest, jakoby lubimy tylko rozkazywać! Lubimy także i słuchać, czego wymownym przykładem była dyrektorowa, która natychmiast zakradła się między krzaki bzu, aby właśnie zaprzeczyć krzywdzącej nas wszystkich opinii.

Jak się okazało, tematem rozmowy były wybory nowego burmistrza, a biorąca w niej udział trójka zdecydowanie wypowiadała się za Karaskiem, tym samym, przeciwko doktorowi...

— ...Cóż, kiedy doktór ma wielu zwolenników — stwierdzał komendant. — Radni chcą właśnie jego...

— No, to w razie czego starosta wyboru nie zatwierdzi — pocieszył Borowik.

— Tak, ale niekoniecznie mamy na to liczyć, lepiej zastanowić się nad tym, żeby Karasek przeszedł odrazu!

— Trzeba by doktora w jakikolwiek sposób skompromitować! — doszedł do wniosku Borowik.

— Yhy — podchwyciła Zinaida.

— Lecz w jaki? — zatroszczył się komendant.

I prawdopodobnie długo radziliby panowie, może w dodatku bezskutecznie, nad sposobami, gdyby nie odsiecz ze strony właśnie Zinaidy... („Och, żmija!" — szepnęła do siebie dyrektorowa, słysząc szczegóły jej projektu).

Zinaida, nawiązując do motocyklowych zamiłowań doktora, wyłożyła swój plan w tych mniej więcej słowach:

— Za chwilę lecę pędem do szpitala i namówię doktora, żeby dziś pojechał ze mną motocyklem, potem zostanę w polu, niechaj sam wraca, a ja dopiero jutro przyjdę akurat na posiedzenie rady, z rozwianymi włosami, w poszarpanej sukni i narobię takiego krzyku, że doktór chciał mnie zgwałcić, że mówię wam...

— To myśl — ucieszył się komendant — radni na własne oczy ujrzą ofiarę uwodziciela i doktór przepadł!

Borowik nie odrazu z entuzjazmem przyjął projekt Zinaidy. Przez chwilę milczał, potem spojrzał na nią przenikliwie i bez ogródek wypowiedział swoje wątpliwości:

— Czy tylko napewno nic między wami nie będzie?! Bo jeśli... to... (tu użył paru słów soczystszych) pamiętaj!!!

Zinaida zaniosła się śmiechem, który wcale nie rozładowywał podejrzeń Borowika. I możeby nie pozwolił jej na taki krok, gdyby nie sugestie komendanta i oddanie sprawie wyboru Karaska na burmistrza, w którym widział opatrznościowego męża nie tylko dla miasteczka, ale i dla spółki autobusowej, a w przyszłości może i dla wielu innych spraw.

Zanim jednak dyrektorowa należycie uświadomiła sobie niebezpieczeństwo wiszące nad kandydaturą doktora, Zinaida w lekkim płaszczu wybiegła na ulicę, po drodze uzupełniając pudrem i kredką swoją kuszącą urodę.

Dalszy przebieg już znamy: dyrektorowa ze swojem ostrzeżeniem przybyła o parę minut zapóźno...

Wracając z przed szpitala, przypominała sobie krzywdy, doznane od Karaska, krzywdy, dotąd prawie niezrekompensowane. Wszystko nanowo stanęło jej w pamięci: i ów dzień przyjazdu magistra do Zapadników, kiedy przedstawił się nie jej a mężowi i odmowę jaka spotkała Kwiatkowską i przedstawienie „Zemsty".

Jedynym jasnym momentem był fakt, że przynajmniej nie udało się Karaskowi małżeństwo z Zuzią.

Ale tego ambitnej dyrektorowej było stanowczo zamało.

To też wchodząc do mieszkania, cisnęła ser holenderski i pudełko szprotek prawie w twarz męża, a sama szybko położyła się do łóżka:

— Chora jestem!

Dyrektor wielce się zaniepokoił, zwłaszcza, iż po chwili żona zaczęła szczękać zębami i drżeć.

Chwycił się za głowę:

— O, Boże, widocznie znowu nawrót grypy! Kochanie, może pójść po doktora?!

— Nie trzeba! — krótko odpowiedziało kochanie i, odwracając się do ściany, z przekąsem dodało:

— Zresztą, akurat znalazłbyś go! Właśnie czeka na ciebie... Z Zinaidą!

* * *

W udekorowanej herbami Zapadników — siedem lwów pilnie szczypiących trawę na dębowej polanie — magistrackiej sali posiedzeń radny Pawluśkiewicz kończył przemówienie, uzasadniając kandydaturę doktora, gdy drzwi raptownie się otwarły i wbiegła Zinaida, ale jakże zmieniona: włosy w nieładzie, we włosach pełno badyli, perkalowa bluzka na piersi rozdarta, pantofelki z wężowej skóry doszczętnie przemoczone.

Wbiegła ze szlochem i rozdzierającym serca wołaniem:

— Ojcowie miasta, och, żeby go cholera!

— Wszyscy ojcowie miasta, zrywając się zza stołu, ruszyli ku nieszczęśliwej:

— O co chodzi?! Co się stało?!!!

— Oj, ratunku... doktór, zbój, ladacznik, wywiózł mnie za miasto i chciał zgwał-

*) Fragment powieści satyrycznej, osnutej na tle życia przedwojennego miasteczka, p. t. „W Zapadnikach nad Olszanką".

cić!!! Ledwo się przed nim opędziłam! Ojcowie, ratunku!

Szczegóły, obficie skropione łzami, złożyły się na przerażający moralną ohydą wizerunek doktora. Nawet radny Pawluśkiewicz, przed chwilą występujący jako jego apologeta, musiał zakryć ze wstydu twarz rękami, potem prawie zemdleć i wyszeptać:

— Jakżem fatalnie się pomylił!

Cierpienia moralne Pawluśkiewicza zwiększało przybierające teraz na agresywności zachowanie się zwoleników Karaska. Zwolennicy co chwila podbiegali do kanapy, na którą osunął się radny, i syczeli:

— A co? Doktora ci się zachciało na burmistrza! Losy miasta chciałeś zawierzyć takiemu, tfy, sufraganowi! Widocznie sam jesteś taki jak ten twój laluś - cacuś... — Bandyci! Swołocze! Powywieszaćby was....

Choć Pawluśkiewicz, sam takim nie był', to jednak — kiedy opanowano zamieszanie, a Zinaidę zabrał do domu nie umiejący pohamować swego oburzenia Borowik — burmistrzem został jednogłośnie obrany magister Karasek, który prawdopodobnie o niczem nie wiedział, gdyż w tym czasie na parterze omawiał z komendantem ostatnie szczegóły związane z realizacją komunikacji autobusowej.

Po telefonicznym zawiadomieniu pana starosty o dokonanym wyborze, radni z ustępującym burmistrzem na czele zeszli na wzmiankowany parter, by pogratulować nowej głowie miasta, nazajutrz zaś odbyła się uroczystość przekazania władzy a jednocześnie pożegnanie poprzednika, odjeżdżającego na odpowiedzialne stanowisko wicewojewody.

Uroczystość miała odbyć się w domu ludowym, lecz jeszcze przedtem ustępujący burmistrz przekazał protokularnie Karaskowi wszystko, co dotyczyło gospodarki miejskiej, dokumenty i zasoby pieniężne.

Z pośród dokumentów — obrazujących dorobek — na szczególną uwagę zasługiwały: drobiazgowo opracowany jeszcze przed dziesięciu laty projekt zadrzewienia miasta: memoriał do ministerstwa o konieczności powołania do życia szkoły średniej garncarstwa; plan rozbudowy dzielnicy „Zarzecze" i kosztorys nowej cembrowanej studni z załączoną do niego błękitną dość już wypłowiałą wstęgą, która miała być przecięta podczas otwarcia tejże studni, w razie, gdyby „kosztorys przyoblekł materialne kształty"; projekt kanału, który w ciągu najbliższych trzystu lat miał połączyć Olszankę z systemem rzecznym Wisły.

Następnie były burmistrz i burmistrz przystępujący do urzędowania udali się do domu ludowego, gdzie już zgromadziło się społeczeństwo, oraz młodzież szkolna ze sztandarami...

— Panie i panowie — rozpoczął jeden z radnych, stając przy rampie, przed kurtyną w groszki i bordowe rzuciki — jesteście, że tak powiem oto świadkami doniosłej chwili, gdy jeden włodarz, że tak powiem, odchodzi, a drugi, aby ciągłość, że tak powiem była zachowana, przychodzi...

W Zapadnikach nikt nie znał sztuki stenografowania, przeto, niestety, nie zachowały się teksty przemówień ani radnego ani dalszych mówców, a pamięć nam nie dopisuje i jesteśmy zmuszeni do podania jedynie poszczególnych punktów uroczystości.

Wiersze recytowała córeczka komendanta.

Etjudę skrzypcową „c-moll' wykonał psalmista Miron Aleksandrowicz a chór kościelny odśpiewał kilka kanonów trójgłosowych.

Wreszcie ustępujący burmistrz podał magistrowi poduszkę z dwoma nakrzyż złożonymi kluczami, śpiesznie wykonanymi dla tego celu przez cech ślusarzy.

Przejęty ważnością chwili, przepełniony poczuciem odpowiedzialności jaka spadła na jego barki, Karasek podziękował miastu za tak wielkie zaufanie, oświadczył, iż „sądzi, że będzie wyrazicielem uczuć ogółu, jeśli podziękuje za owocną pracę swemu poprzednikowi" i obiecał, że „będzie dążyć — jak i jego poprzednik — do dalszego uzdrowienia stosunków"..

Zakończono, jak to było we zwyczaju powzięciem rezolucji.

Tym razem dotyczyła ona obietnicy zbudowania przystani kajakowej na brzegu zatoki i została przekazana sekretarzowi magistrackiemu dla przechowania w archiwum.

* * *

Ludzie, obdarzeni godnością burmistrza, natychmiast kupują sobie bonżurkę i bambosze, oraz uzyskują skłonność do tycia i nigdy jeszcze nie zdarzyło się nam widzieć jakiegokolwiek burmistrza bez tej skłonności tak jak nigdy nie widzieliśmy rodaka, któryby nie miał własnej oryginalnej koncepcji urządzenia kraju, jedynej, jeśli chodzi o zapewnienie mu świetlanego rozwoju i sprawnie funkcjonujących wentylatorów w salach teatralnych.

Karaskowi w niespełna kilka miesięcy po wyborze kształty także zaczęły się zaokrąglać, a na szyi pojawiła się pierwsza fałda, niewątpliwa oznaka poprawy samopoczucia i zadowolenia z życia, czego nie miał jako skromny wykładowca języka polskiego w gimnazjum.

Drugą taką oznakę skłonni jesteśmy upatrywać w fakcie przeniesienia się burmistrza z małego pokoiku, odnajmowanego na brzegu miasteczka u garbarza, do dużego domu z mansardowym dachem przy ul. Mickiewicza, w którym mieszkał poprzednik.

Dom ten należał do nielicznych w Zapadnikach, gdyż miał nawet łazienkę z wanną, oraz światło elektryczne nietylko w pokojach ale i w ogródku, otoczonym żywopłotem z tarniny i żółtych akacyj, od ulicy zaś oddzielonym siatką drucianą. Na furtce wisiała tabliczka z napisem: „Uwaga, zły pies! Bez dzwonienia nie wchodzić!"

W ostrzeżeniu tym krył się niewinny podstęp: pies miał tę wadę, iż lubił spać i zaczynał funkcjonować jako zły pies dopiero na alarmujący dźwięk dzwonka wiszącego nad furtką, tak, że mechanizm bezpieczeństwa działał tylko w koordynacji i dlatego kiedyś w przeszłości złodziejom, którzy nie użyli dzwonka, udało się okraść to mieszkanie całkowicie, bo nic nie zbudziło psa...

Działalność burmistrzowską zaczął Karasek rzeczywiście od zapowiedzianego uzdrowienia stosunków przede wszystkim w swoim najbliższym otoczeniu, t. zn. w magistracie. Zwolnił mianowicie siostrę Wójcikiewicza, która pełniła obowiązki rachmistrza, oraz córkę Kwiatkowskiej zatrudnioną w w dziale meldunkowym a na opróżnione miejsca przyjął córkę Kwaśkowiaka i poleconą przez Borowika jako wypróbowaną siłę pannę Magnuszewską. Następnie wymówił radnemu Pawluśkiewiczowi dostawy opału dla instytucyj, utrzymywanych z budżetu zarządu miejskiego. Folwark magistracki, celem wprowadzenia postępowej gospodarki, Karasek postanowił sam wydzierżawić za jedną dziesiątą swoich rocznych poborów.

Ale nie obyło się i bez kłód rzucanych pod nogi nowemu burmistrzowi na jego trudnej drodze samorządowej. Przedewszystkim niektórzy znajomi, którym przed tym Karasek kłaniał się pierwszy, nadal usiłowali zachować stan poprzedni, jakby ignorując ten fakt, że przecież wszystko gruntownie się zmieniło i magister tym razem reprezentował honor i wielkość miasta.

Były jednak i krzepiące dowody przywiązania a także uznania, Gdy burmistrz szedł ulicami — sklepikarze wychodzili naprzeciw ze słowami szacunku, wyrażanemi lapidarnie, lecz tymbardziej przekonywująco:

— Dzień dobry panu burmistrzowi!...

Szacunek wyrażał się nie tylko w słowach, gdyż co pewien czas rzeźnicy przynosili do domu burmistrza skromne podarunki w postaci polędwicy a dzierżawcy sadów pieczołowicie przechowywane przez zimę smakowite antonówki i inne jabłka. Karasek stale wzbraniał się przed przyjęciem tych darów, wkońcu jednak, jako człowiek wyrozumiały, ulegał prośbom i nawet zapisywał sobie nazwisko ofiarodawców do notesiku, w którym doniedawna notował stopnie z języka polskiego.

Dyrektorowa, przyzwyczajona od lat do tego, że zawsze utrzymywała z burmistrzami przyjazne stosunki towarzyskie, zaczęła zastanawiać się nad tem, czy przypadkiem całą swoją porzednią działalnością nie wyrządziła magistrowi niezasłużonej krzywdy. Wreszcie doszło do wniosku, że była jednak niesprawiedliwa i aby choć w części to naprawić, któregoś dnia wysłała męża - dyrektora, żeby złożył Karaskowi gratulacje i zaprosił go na herbatkę.

Jedynie Kwiatkowska — obca wszelkim dręczącym sumienie ludzkie wątpliwościom — nadal została nieprzejednana i nawet przekupywała cukierkami chłopców ze szkoły powszechnej, żeby przy byle okazji krzyczeli, zza płotów, wślad za Karaskiem: „Z Zuzanny figa! Z Zuzanny figa!", co rozdrapywało w burmistrzu ranę, jaką mu zadała młoda Domaradzka, wybierając sobie na męża, tego, psiakrew, Wójcikiewicza, którego nijak, jak dotąd, nie udało się wyfurować z gimnazjum.

Jan Huszcza

Dyskusja o Ministerstwie Kultury i Sztuki

Zagadnienie upowszechniania kultury

Upowszechnieniem kultury wśród mas zajmują się dzisiaj liczne instytucje, ale nie mogą one sprostać zapotrzebowaniu społecznemu, które rosnąc tworzy samorodne komórki życia kulturalnego, nie ujęte w żadne ramy organizacyjne, prowadzące bujny żywot natur pierwotnych z wszystkimi złymi i dobrymi skutkami tego stanu. Na korzyść jednak instytucyj upowszechniających kulturę, trzeba powiedzieć, że rozszerzają one swój zasięg. Rejestr placówek, które są im podległe, rośnie i przynosi prawdziwy zaszczyt urzędnikom, którzy winietami swoich instytucyj zdobią coraz większą ilość bram i drzwi wejściowych.

By z grubsza zorientować się w liczbie instytucyj, które służą upowszechnianiu kultury, należałoby ogólnie powiedzieć, że jest ona nieokreślona. Nie ma dziś prawie zakładu pracy i urzędu, gdzie nie byłoby zorganizowanych zespołów świetlicowych lub artystycznych. Praca w nich odbywa się według różnorodnych zasad.

Największą liczbę ośrodków świetlic i zespołów prowadzi Ministerstwo Oświaty. Pomijając organizację życia kulturalnego w szkołach dla dzieci i młodzieży trzeba stwierdzić istnienie tysięcy świetlic, zespołów muzycznych, śpiewaczych, teatralnych, bibliotek i czytelni dla dorosłych. Pracą w tych zespołach kierują nauczyciele przygotowani do organizacji życia kulturalnego poprzez szkoły i kursy artystyczne i świetlicowe.

Jakkolwiek jednak ośrodki te mają dość racjonalnie przemyślaną organizację ,nie zawsze, rzecz naturalna, zapewnić mogą należyty poziom i dość postępowy program.

Równolegle z organizacją życia kulturalnego w ramach Ministerstwa Oświaty występują jako czynniki organizacyjne inne resorty administracyjne, głównie zaś Ministerstwo Kultury i Sztuki, Ministerstwo Informacji i Propagandy, Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych, Ministerstwo Przemysłu i inne Ministerstwa. Poza tym należy podkreślić ważną rolę, jaką na tym odcinku odgrywają C. K. i O. K. Z. Z., T. U. R., C. R. D. K., partie polityczne, organizacje młodzieżowe oraz Stowarzyszenia o charakterze artystycznym, jak Towarzystwo Teatru i Muzyki Ludowej, Ludowy Instytut Muzyki i in.

Do większości ośrodków życia kulturalnego przeniknęła już działalność tych wszystkich instytucyj. Jakie są tego rezultaty, jakie nasuwają się postulaty w zakresie planowania kulturalnego?

W pierwszym rzędzie należałoby stwierdzić, że wśród instytucyj organizujących upowszechnienie kultury żadna nie stworzyła racjonalnych i celowych rozwiązań w organizowaniu form i treści życia kulturalnego. Każda z tych instytucyj prowadzi własną politykę.

Najbardziej przygotowane do tej działalności Min. Oświaty najczęściej występuje z pomocą wobec innych resortów i instytucyj przez udostępnienie schematów organizacyjnych, bibliografii, zbiorków poezji, pieśni i instruktorów. Nie czyni jednak i nie może uczynić wszystkiego, co trzeba zrobić w tej dziedzinie. We wszystkich tych pracach i trudnościach nie odnajdujemy planującego oddziaływania Ministerstwa Kultury i Sztuki. Nie spotykamy się ani z jego inicjatywą, ani pomocą. Tam zaś, gdzie komórki tego resortu ingerują i starają się ujawnić działalność, występuje ona jako sugestia organizatorska, za którą rzadko kiedy idą w ślad możliwości realizacyjne lub pomoc w środkach materialnych. Kiedy oglądamy dziesiątki imprez artystycznych i manifestacyj patriotycznych, musimy stwierdzić z ubolewaniem, że tylko nieliczne grupy i zespoły umieją dobrać na właściwym poziomie opracowany tekst, muzykę, dekorację, sensownie przemyślany program i z ducha dzisiejszych czasów wynikającą jego treść. Nie ma dziś instancji, która w skali ogólnopaństwowej planuje, organizuje, zbiera, wydaje i zasila materiałami, potrzebnymi do organizacji życia kulturalnego. Każda wielka instytucja organizuje to życie we własnym zakresie, na miarę własnych środków i własnych potrzeb. Czy to jest źle?

Z czasem z tego chaosu wyłoni się typ kultury wolnej od przeciwieństw między mieszczańsko-szlacheckimi i proletariackimi jej biegunami. Dziś jeszcze jesteśmy daleko od mety. I choć potrzebny jest nam plan i ogólne założenia ideowe, musimy uwolnić się od iluzji, że może to uczynić Ministerstwo Kultury poprzez taką organizację swojej działalności, jaką mamy możność obserwować. Przedstawiciele Ministerstwa Kultury reprezentują czynnik biurokratyczny, nie kompetentny w sprawach twórczości i kultury. Szkoły, fabryki, spółdzielnie, świetlice żołnierskie i imprezy młodzieżowe korzystają z pomocy i porad konkretnych ludzi, twórczych w różnych dziedzinach sztuki. Ludzi tych znaleźć można w związkach artystycznych, natomiast brak ich w agendach Ministerstwa Kultury.

Agendy te nastawione są na omijanie wszelkich prac artystycznych i przekazywanie ich twórcom i związkom twórców, pracami organizacyjnymi zaś wogóle mało się interesują. Faktycznymi organizatorami życia kulturalnego w Polsce są związki zawodowe, organizacje pracownicze i polityczne. Prościej będzie, jeżeli z organizacji życia kulturalnego usuniemy zbędny czynnik biurokratyczny, którym są agendy Ministerstwa Kultury, i umożliwimy bezpośrednią współpracę między organizacjami, prowadzącymi świetlice i zespoły artystyczne, a artystami i ich związkami.

Ogólne założenia polityki kulturalnej określa dekret o publicznym systemie oświaty i wychowania narodowego. Organizacje polityczne muszą strzec ducha demokratyczności tego dekretu. Związki zawodowe i organizacje artystyczne w ścisłej współpracy wypełnią treścią jego wskazania. Regulatorem administracyjno-instrukcyjnym w skali ogólnopaństwowej stanie się niewątpliwie Ministerstwo Oświaty, zdemokratyzowane we wszelkich ogniwach, wyposażone we właściwy aparat i ludzi. Ministerstwo Kultury weszło tu na niewłaściwy dla siebie teren i byłoby wskazane, żeby jak najprędzej wycofało się z niego. Podobnie, jak z innych dziedzin, w których działalność jego jest nieuzasadniona.

Weźmy sprawę przemysłu artystycznego. Pozostaje ona w nikłym związku z zadaniami, które powinno wykonywać Ministerstwo Kultury. Do jego naczelnych zadań winna należeć opieka nad twórcami i planowanie rozwoju pewnych dziedzin kultury. Przemysł artystyczny jest sprawą wymiany gospodarczej. Będzie miał najlepsze prespektywy rozwoju, jeżeli zajmą się nim związki artystyczne, które poprzez opiekę nad wytwórczością chałupniczą, czy też organizując własne zakłady wytwórcze, przyczynić się mogą do podnienia poziomu dzieł sztuki stosowanej. Tam zaś, gdzie jest potrzebna masowa produkcja artystyczna, musi wystąpić Ministerstwo Przemysłu, właściwy czynnik organizujący rynek gospodarczy i znający potrzeby wewnętrzne i zamówienia zagraniczne. Czy jest możliwe, aby Ministerstwo Kultury przejęło w swoje ręce organizację przemysłu artystycznego i by podejmowało się zadań, dla których spełniania nie ma ani środków gospodarczych ani organizacyjnych? Prościej będzie, jeżeli Ministerstwo Przemysłu, organizując przemysł artystyczny, zaangażuje do współpracy odpowiednie związki artystyczne, unikając zbędnego pośrednictwa Min. Kultury.

Zagadnienie przemysłu artystycznego wiąże się ściśle ze sprawą szkolnictwa artystycznego, które prowadzi Ministerstwo Kultury. Jak wykazała praktyka nie jest ono przygotowane do wykonania zadań na tym odcinku.

Projektuje ono np. uruchomienie szkół muzycznych dla dzieci w wieku obowiązku szkolnego, przekształcając w tym celu dotychczasowe swoje niższe szkoły muzyczne. Jakie znajduje środki dla realizacji tych projektów? Pod adresem Ministerstwa Oświaty i Zarządów Miejskich wysuwa żądania, by dały one dla szkoły lokal, przydzieliły etaty nauczycielskie na przedmioty nieartystyczne, t. j. na większość przedmiotów, by dały uczniom całkowite utrzymanie w internatach, t. j. by podjęły się dostarczenia zasadniczych środków na prowadzenie tych szkół. Samo zaś ofiarowuje usługi w wyszukaniu i uposażeniu nauczycieli muzyki i zaopatrzenie szkół w instrumenty. Jest to akcja projektodawcza. W gruncie rzeczy może ją podjąć każde towarzystwo muzyczne, może przyjść szkole z pomocą w tej samej mierze, jak Ministerstwo Kultury. Co więcej: niektóre towarzystwa muzyczne są zdolne do większych świadczeń i uprawiają dziś działalność, która znacznie wyprzedziła w inicjatywie i aktywności Ministerstwo Kultury.

Pod względem programu szkoły artystyczne nie mogą odbiegać od zasad, które powszechnie przyjęto dla struktury programowej w szkolnictwie. I w gruncie rzeczy Ministerstwo Kultury nie odbiega od przyjętych wzorów Posługuje się zasadami, ustalonymi przez Ministerstwo Oświaty dla konstrukcji programów szkół zawodowych.

Między szkołami artystycznymi Ministerstwa Kultury, a szkołami zawodowymi typu zdobniczego, poligraficznego, tkackiego, dziewiarskiego, kilimkarskiego, hafciarskiego i innych, które prowadzą inne resorty, nie ma różnic. Układ przedmiotów ten sam, siatka godzin niemal identyczna. Wykonanie jednak programu budzi daleko idące zastrzeżenia. W szkołach Ministerstwa Kultury brak jest należytej podbudowy ogólnokształcącej, organizacja pracy przypadkowa, nieumiejętne organizowania zajęć szkolnych, niewłaściwy dobór wykładowców. Tak zwłaszcza było na początku organizacji tych szkół. Nie można się dziwić, że Ministerstwo Kultury zrezygnowało z prowadzenia wielu swoich szkół, a nawet częściowo pozamykało je. Widoczna w tych sprawach dorywczość i wielotorowość jest w dalszym ciągu nie do utrzymania.

Racjonalna gospodarka na odcinku kultury wymaga zrewidowania zasad organizacyjnych, które stały się podstawą działalności Ministerstwa Kultury. Należy rozgraniczyć kompetencje między Ministerstwem Kultury, jako ośrodkiem planującym kulturę, a administracyjnymi resortami oświatowymi i gospodarczymi, o które zazębia się działalność tego ośrodka. Rozgraniczenie kompetencji winno zmierzać do oddzielenia Min. Kultury i przekazania spraw, upowszechniania życia kulturalnego, szkolnictwa i przemysłu artystycznego odpowiednim resortom administracyjnym, t. j. Ministerstwu Oświaty i Ministerstwu Przemysłu, jako urzędom powołanym do zarządzania procesami oświaty i gospodarki. W ten sposób pomniejszone w swoich kompetencjach w zakresie swojej działalności Ministerstwo Kultury winno być przekształcone na zarządy i dyrekcje poszczególnych wyodrębnionych dziedzin kultury, jak popieranie twórczości i opieka nad twórcami, zarząd nad teatrami i muzeami oraz planowanie w zakresie ogólnej polityki kulturalnej.

Jan Baculewski

RYSZARD MATUSZEWSKI

POWIEŚĆ O GRUPIE DEMBIŃSKIEGO

„Żagary", „Karta", „Po prostu" — to kolejne tytuły pism, wydawanych przez zmienną nieco w swym składzie, ale zasadniczo z jednego pnia się wywodzącą grupę młodzieży wileńskiej: zrazu „literacką", potem wyraźnie ideologiczną, ideowo scementowaną, o działalności upamiętnionej słynnym na całą Polskę procesem Dembińskiego i towarzyszy w r. 1937—38. „Żagary", „Karta", „Po prostu" oraz grupa Dembińskiego i Jędrychowskiego — to ważny kawał historii ruchów umysłowych oraz ideowych przeobrażeń naszej młodzieży inteligenckiej w drugiej połowie lat międzywojennych. Można śmiało powiedzieć: w latach 1932—39 nie było w Polsce, w żadnym z miast, na żadnym z uniwersytetów równie dużego, interesującego intelektualnie i zwartego ideologicznie środowiska młodzieży wiernej hasłom, z którymi występowała społeczna lewica. Ludzie ci przeszli znamienne i typowe koleje: charakterystyczną dla lat narastającego faszyzmu drogę polskiego, radykalizującego inteligenta od złudzeń do świadomej walki, od flirtów z reżimem — do podziemia.

Jedną z pierwszych propozycji rzuconych przez krytykę w okresie powojennym odnośnie zbadania rodowodu historycznych losów Polski wczorajszej i dzisiejszej była propozycja ujęcia dziejów tych lat i tych przemian w ramy literatury. Opisać historię polskiego faszyzmu i polskiej walki z faszyzmem! Ruszył tę sprawę od strony pierwszej Tadeusz Breza w „Murach Jerycha". Od strony drugiej czytaliśmy dotąd jedynie zapowiedzi i konspekty w formie publicystycznej w artykułach Żółkiewskiego, Brandysa. Powieść Jerzego Putramenta pt. „Rzeczywistość" jest pierwszym na dużą skalę literackim zamierzeniem w tej dziedzinie. Jest dużą, śmiałą próbą wielkiej kompozycji powieściowej na tle dziejów wileńskiej grupy „Żagarów" i „Po prostu". Jest wierną, nieskłamaną historią wydarzeń, które miały miejsce na prawdę, choć pismo nosiło inny tytuł niż w książce a ludzie inne nazwiska. „Rzeczywistość", jeśli chodzi o stosunek do zdarzeń i faktów niepoddanych deformacyjnym zabiegom wyobraźni pisarza może nawet budzić zastrzeżenia jako powieść. Czyż czynnikiem nieodzownym utworu powieściowego nie jest element fikcji?

Zastrzeżenia te budzą się, podtrzymywanie ich jednak nie byłoby słuszne. Granice fikcji, gdy idzie choćby o najpotoczniejszą interpretację psychologiczną, trudno oznaczyć. Tę zaś Putrament daje nam, nie ograniczając się do zewnętrznego opisu, lecz snując wątki myśli swych bohaterów i rozbudowując ich wizerunek duchowy w sposób powieściowy. Poza tym Putrament wikła ich losy według wszelkich powieściowych reguł. Kompozycyjnie utwór jest powieścią. Ma kilka wątków akcji, wszystko w nim czemuś służy, nic nazewnątrz nie wypada. W drodze celowej eliminacji usunięto zeń wszystko, co nie wiązało się z akcją, nie służyło charakterystyce osób lub sytuacji. Trudno zaprzeczyć natomiast, że „Rzeczywistość" stanowi najklasyczniejszy przykład tzw. „roman a clef". Ktokolwiek, choćby z gazet, zna przebieg procesu sprzed lat dziewięciu i dramatis personae, kto jako tako orientuje się choćby w najogólniejszych zarysach historii sprawy, — wskaże łatwo palcem na poszczególne postaci powieści.

Oto główni bohaterowie: rozstrzelany później przez Niemców trybun młodzieży wileńskiej — Henryk Dembiński i obecny minister Żeglugi i Handlu Zagranicznego, Stefan Jędrychowski, — pod podobnymi nawet brzmieniowo nazwiskami Jasińskiego i Andrzejewskiego. Oto dobrze znane sylwetki pod pseudonimami Kornickiego i Pawlukiewicza, sióstr Dziedzickich i poety nazwiskiem Pilawko. Wielu ludzi wie, o kogo chodzi. Rzeczywistość? Właśnie, „Rzeczywistość".

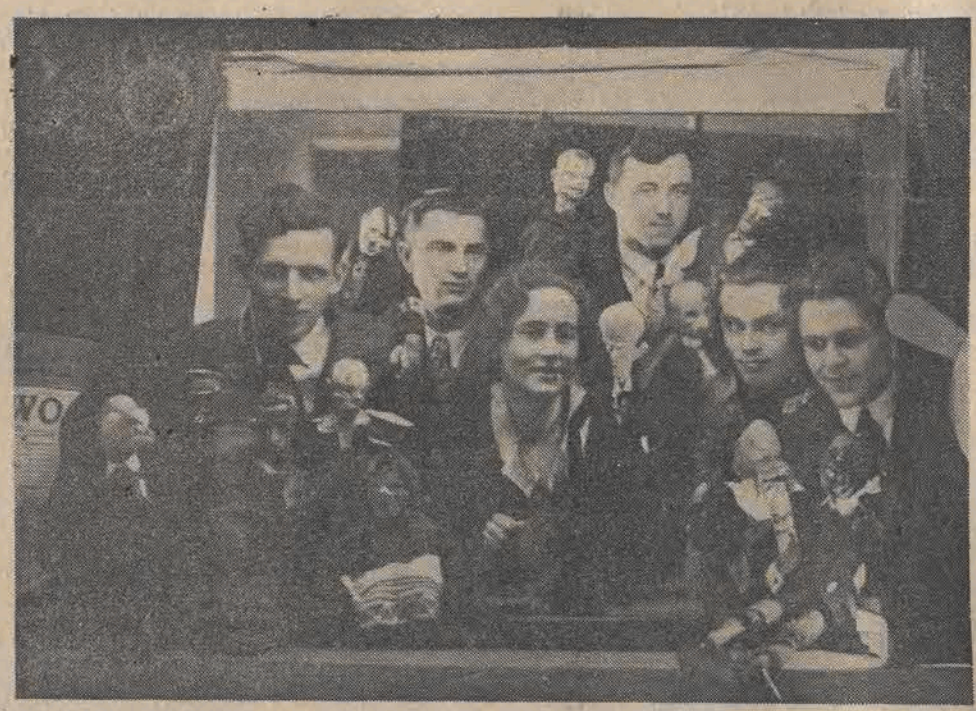

Ze zbiorów J. Wyszomirskiego.

Szopka akademicka studentów U. S. B. w Wilnie w r. 1935. Na zdjęciu m. in. autor „Rzeczywistości" (pierwszy od lewej) trzyma kukiełki Policjanta, Henryka Dembińskiego i J. Wyszomirskiego. Dwaj ostatni z prawej Czesław Miłosz i T. Godziszewski, wykonawca kukiełek, obecnie prof. na wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu w Toruniu.

„Rzeczywistość" jest nazwą pisma. Powieść — dziejami redakcji i jej zespołu. Ten zespół — to „Karta" i „Po prostu". Już nie „Żagary", które miały inny skład osobowy, oraz inny, mieszany w pół społeczny, pół literacki charakter. Dzieje pisma wydawanego w latach 1935—1937 w mieście, gdzie wojewodą był sanacyjny płk Bociański (w powieści — Czapliński) — to seria podjazdowych walk o istnienie radykalnego periodyku, śmiało atakującego ówczesną polską politykę wewnętrzną i zagraniczną, celowo i perfidnie niszczonego, wprost i okrężnie, politycznie i ekonomicznie, przez stosowanie bezprawnego systemu rujnujących konfiskat, zarządzanych już po odbiciu przez drukarnię pełnego nakładu pisma; to zawiła historia lisich podstępów i prowokacji milczącego, wstydliwego lub też jawnego i cynicznego współdziałania najwyższych czynników administracyjnych z najniższymi, dygnitarza ze szpiclem, luminarza z kanalią.

Przed oczyma czytelnika przesuwa się bogata galeria typów i film niezwykłych zdarzeń. Wojewoda, referenci, tajniacy, sędzia śledczy i prokurator uwikłani są w akcję skompromitowania za wszelką cenę ideowej grupy młodzieży, częściowo studiującej, częściowo już po studiach, wysoko cenionej przez wykładowców ze względu na nieprzeciętne zdolności, znanej i popularnej w niedużym, prowincjonalnym mieście ze względu na swą aktywność i liczne powiązania z miejscowym społeczeństwem. Walka idzie na całego. Nie przebiera się w niej w środkach. Centralną postacią tragicznych zmagań staje się osoba przypadkowego raczej współpracownika „Rzeczywistości" nazwiskiem Szulc, człowieka zdolnego, lecz o słabym charakterze, którego policja postanawia urobić sobie na konfidenta. Zamysł, który początkowo „chwyta" — Szulc zobowiązuje się dostarczać policji poufnych wiadomości o członkach redakcji — w rozstrzygającym momencie spala na panewce. Nad ofiarą policyjnych zabiegów czuwa ideowa, zakochana dziewczyna. Na procesie Szulc nie załamuje się, co kompromituje do reszty prokuraturę, nie posiadającą w stosunku do oskarżonych żadnych konkretnych dowodów winy, i zmusza ją do karkołomnych usiłowań zmiany podstawy oskarżenia.

Sąd Okręgowy, który — pamiętamy to, tak było w rzeczywistości bez cudzysłowu, — skazał, mimo to, dwóch głównych oskarżonych w procesie na więzienie, uniewinnił Szulca, ale policja polityczna nie darowała mu swej porażki. Wykończony po cichu, „w tajemniczych okolicznościach", zginął człowiek, zmiażdżony przez samoczynny mechanizm systemu. Jednocześnie, wraz z procesem, którego przebieg stanowi kulminacyjny punkt powieści, przestała wychodzić „Rzeczywistość" i „grupa Jasińskiego" straciła swój punkt oparcia.

Do tego skrótowego obrazu akcji dochodzą liczne epizody charakterystyczne: przebieg zebrań zespołu „Rzeczywistości", dyskusji i wycieczek podmiejskich, kontaktu z przedstawicielem politycznego podziemia, wiecu i masówki — w mieście i na uniwersytecie, strajku w małym miasteczku, dokąd bohater wyjeżdża w charakterze reportera.

„Rzeczywistość" jest, jak zaznaczyliśmy, na dużą skalę zakrojoną próbą powieści politycznej, próbą ukazania szerokiego obrazu społeczeństwa, w którym toczyła się walka postępu i wstecznictwa. Jest prostym, jasnym, niezamąconym poważniejszymi powikłaniami psychologicznymi, przekrojem społecznej sytuacji w niewielkim kresowym mieście, w chwili największego nasilenia procesu faszyzacji stosunków w Polsce, relacją jednego z najciekawszych epizodów toczącej się walki.

Świat postaci powieściowych w „Rzeczywistości" obejmuje wszystkie zasadnicze warstwy społeczne środowiska, które obrazuje i na którego terenie walka się toczy. O ile znacznie bardziej precyzyjny w psychologicznych szczegółach obraz środowiska w pierwszej powojennej powieści politycznej — w „Murach Jerycha" Brezy koncentrował się na kamaryli reżimowej i pomijał niemal całkowicie obraz przeciętnego inteligenta, a typ radykała społecznego ukazywał z daleka i w niepełnym świetle, o tyle tu akcent pada w innym kierunku, na pierwszym planie występuje grupa ludzi walczących z reżimem, a ponadto wachlarz jest szerszy. Skrótowo pokazane są nie tylko urząd, wyższa uczelnia (studenci, profesorowie, funkcjonariusze), ale i inne odłamy prowincjonalnego mieszczaństwa— ludzie z wolnych zawodów, pisarze. Pokazani są epizodycznie działacze robotniczy, ludzie z „dołów", pokazana jest ulica. „Rzeczywistość" w książce Putramenta to nie tylko nazwa pisma, — to także w pewnym stopniu realizm ukazanego nam środowiska. Rzecz nie dzieje się jak to często się miało w gorszych partiach naszej literatury w szklanej kuli, lecz osadzona jest mocno w rzeczywistym życiu.

Czy ta relacja z rzeczywistego życia jest osiągnięciem również artystycznie udanym? W najogólniejszych zarysach, w zasadniczym, powieściowym rzucie — niewątpliwie tak. To, co pisarzom polskim wychodzi zazwyczaj najgorzej, wyraźna i przejrzysta konstrukcja, konsekwentny i celowy przebieg akcji, skupienie na nim zainteresowań czytelnika — Putrament osiągnął z rasowym nerwem pisarza o dużym rozmachu, dużej pewności pióra. Jeśli chodzi natomiast o obróbkę szczegółów, o to, co dziełu pisarskiemu daje rangę dobrej rzemieślniczej roboty, można by mieć wiele zastrzeżeń. I tak, gdyby szło o charakterystykę i rysunek poszczególnych postaci nasuwa się bezwzględnie uwaga, że najżywiej i najwyraźniej zarysowane zostały figury epizodyczne i „charakterystyczne": sędziowie, adwokaci z procesu. Z członków „grupy": tragiczna postać Szulca, Wlebowicz, Pawlukiewicz, żona Andrzejewskiego Janeczka. O wiele słabiej wypadły sylwetki głównych przywódców — Jasińskiego i Andrzejewskiego, zresztą celowo i trafnie usuniętych przez autora nieco w głąb. Charakterystyczne dla Putramenta jest używanie w rysunku psychologicznym jedynie prostych, nieskomplikowanych barw i linii: spojrzenie na bohaterów z jednego i wyłącznego punktu widzenia. To, co jest zaletą w zasadniczej konstrukcji książki, grozi niebezpieczeństwem w odmalowaniu pełnych i prawdziwych postaci, które w założeniu nie mają być jedynie obnażone i skompromitowane, jak ukazani w karykaturze urzędnicy województwa i aparat administracyjny, lecz których rola i znaczenie wyniknąć musiałyby właśnie z pewnego intelektualnego pogłębienia i komplikacji duchowego wizerunku.

Trudność wynika z podjęcia niezwykle ambitnego tematu. Mamy tu przecież do czynienia z czołową grupą młodych intelektualistów. Tu nie wystarcza obraz ideowego rozmachu oraz interesujących perypetii w walce z tajniakami. Wizerunek przeobrażeń ideologicznych postawy Jasińskiego i Andrzejewskiego mamy podany w formie skrótowej, informacyjnej relacji na początku książki. Później raz jeden tylko ma między innymi miejsce krótka rozmowa ideologiczna w obecności tajemniczego przedstawiciela podziemia. Rozmowa ta jest bardzo charakterystyczna. Padają w niej przestrogi przed uproszczeniami, jakie niesie jedno z niebezpieczeństw powierzchownego marksizmu: łatwość zaklasyfikowania świata. Putrament kompozycyjnie bardzo zręcznie omija scylle i charybdy intelektualnych komplikacji swego tematu. Obok szeregu postaci występujących w trzeciej osobie i traktowanych samodzielnie z wysokości wszechwiedzy autora, rządzącego całkowicie swymi postaciami wprowadza postać bohatera w pierwszej osobie, kryjąc niedostatek pełnego obrazu przedstawionych zjawisk ograniczonością jego subiektywnych perspektyw. W sumie obraz wychodzi żywiej i wyraziściej, choć może nie tak pogłębiony, jak tego by wymagały nasze wyobrażenia o istotnej roli tych ludzi, o których „Rzeczywistość" mówi, i o których wiemy, kim byli, względnie są naprawdę. Natomiast jeśli chodzi o typ powieści politycznej w zestawieniu z tym, jakie przynosił nam na ogół „mały realizm" sprzed wojny, „Rzeczywistość" oznacza niewątpliwy postęp. Sceny z procesu, charakterystyka mamutów sądownictwa i adwokatury, czy też zwinnego prokuratorka czasów sanacyjnych ukazują lwi pazur Putramenta jako satyryka, dają pełną miarę jego powieściopisarskich możliwości.

Przed niespełna rokiem Tadeusz Breza dał próbę ukazania w sposób skrajnie różny obrazu politycznej rzeczywistości w Polsce przedwrześniowej. „Rzeczywistość" od „Murów Jerycha" dzieli cała przepaść środków pisarskich. Skrajne wyrafinowanie i barok stoi tu na przeciw publicystycznej skrótowości języka. Myślę, że można by sobie wyobrazić jakąś doskonałość koncepcji i stylu wielkiej powieści społeczno-intelektualnej, w której elementy kunsztu Brezy i rozmachu Putramenta dałyby się stopić w jedną całość.

Ryszard Matuszewski

JAK ZAPRENUMEROWAĆ

»Kuźnicę«

Kuźnicę zaprenumerować można w każdym urzędzie pocztowym wpłacając należność na konto czekowe P.K.O. Nr VII. - 566 z zaznaczeniem „prenumerata Kuźnicy" oraz podać dokładny adres własny

PRENUMERATA

łącznie z przesyłką wynosi: miesięcznie 40 zł, kwartalnie 120 zł

TREŚĆ NR. 6

Stanisław Ossowski — **Stefan Czarnowski.** Józef Chałasiński — **Kultura europejska i kryzys indywidualistycznego humanizmu.** Kazimierz Brandys — **Rozmaitości.** Tadeusz Kotarbiński — **Wspominki o Stefanie Czarnowskim.** Witold Kula — **„Kultura" Czarnowskiego.** Adam Schaff — **Stara i nowa demokracja.** Zygmunt Radek — Jerzy E. Miller — **Wiersze.** Ryszard Matuszewski — **„Dwie Podróże" Pawła Hertza.** Stefan Żółkiewski — **Notatnik moskiewski.** Julia Hartwig — **Spór o estetykę komunistyczną. Przegląd wydawniczy.** Stefan Otwinowski — **List z Krakowa. Przegląd prasy. Korespondencja. Noty.**

JERZY PIÓRKOWSKI

O skierniewickich Stenach i krakowskich ryngrafach

Zabierając na łamach „Kuźnicy" głos w sprawie młodzieży akowskiej naraziłem się na spodziewane ataki. P. Stefan Żółkiewski natychmiast skomentował moją wypowiedź, odmawiając mi prawa do rozgrzeszania masy akowskiej z jej politycznej przeszłości. Żółkiewski, obiektywnie rzecz biorąc, ma, zdawałoby się, rację. A. K. służyła bowiem realizowaniu koncepcyj politycznych t. zw. „Londynu". Dlatego też wszelka retoryka na ten temat może być a nawet musi być tylko naciąganiem faktów.

Ale dlatego też spróbuję przykładowo dokonać pewnego rodzaju wiwisekcji psychologicznej na pierwszym z brzega środowisku akowskim. Środowisko, które właśnie padło ofiarą tragicznie pojętej „apolityczności" wojskówki. Przykład ciekawy, głośny, a w sumie nieznany — to sylwetki morderców śp. Bolesława Ścibiorka. Mogłoby się wydawać, że analizując tych chłopców dojdziemy do wniosku dla mnie wrogiego, gdyż moje medium — „skierniewicka grupa bojowa", zdawałoby się, jest przesycona atmosferą taniego, kołtuńskiego pseudo-politycznego klimatu, mało różniącego się od klimatu faszyzmu.

A przecież rzecz ma się nieco inaczej.

W obronie tej młodzieży staje bowiem jej kompletna ignorancja światopoglądowa, jej naiwność i dziecięca głupota.

Dlatego też mogę ze spokojnym sumieniem stwierdzić, że przynależność do niedwuznacznie określonego środowiska politycznego w okresie okupacji, nie może determinować jej dzisiejszego światopoglądu. Objektywnie ta młodzież ma przeszłość polityczną, bo uczestniczyła czynnie w ruchu o zdecydowanej funkcji politycznej, ponosi współodpowiedzialność za tę obiektywną przeszłość, za błędy polityczne reakcji „londyńskiej". Lecz na ten obiektywny stan rzeczy składa się działalność polityczna AK kierowanej przez „londyńskich" polityków. Nie da się wśród społecznych elementów tego stanu rzeczy wyliczyć subiektywnych treści światopoglądowych, będących własnością indywidualną każdego z żołnierzy AK. Tych treści albo wogóle nie było, albo były bardzo różne, i wsteczne i postępowe, zawsze niedojrzałe, nieokreślone. Subiektywnej przeszłości politycznej londyńskiej ta młodzież w masie swej nie posiada. To też nie może ponosić osobistej odpowiedzialności za błędny światopogląd, którego nie miała. Tylko z tak sformułowanym stanowiskiem Stefana Żółkiewskiego mógłbym się zgodzić.

A teraz kilka słów na temat casusu p. Pawła Jasienicy. W nocie swojej p. t. „Sprawa A. K.", zamieszczonej w „Tygodniku Powszechnym" p. Jasienica dzieli pięknie i gładko całe walczące z faszyzmem podziemie Europy na obóz „Tradycji"(!?!) i „Rewolucji", a rozczulony przypomnieniem obrazu ryngrafu na piersiach niektórych żołnierzy A. K. wrzuca ich do kosza... przepraszam, obozu „Tradycji". Wiemy co to sprytnie pod symbolami rzekomych obozów chce powiedzieć p. Paweł Jasienica. Ja mógłbym p. Pawłowi Jasienicy odpowiedzieć tymi samymi słowami, jakimi mówił jeden z posłów na ostatnim K. R. N-ie, też pod adresem niewątpliwych przedstawicieli obozu „Tradycji".

— „Nie róbcie sobie szarfy z krwi bohaterów Warszawy!"

Spróbujmy zanalizować zagadnienie sumiennie na moim mędium — skierniewickiej grupie bojowej. Wśród oskarżonych w procesie o zabójstwo ś. p. Ścibiorka — byli żołnierze A. K. z okresu konspiracji. Chłopcy ci nie stali bynajmniej „z bronią u nogi". Oddział sabotażowo-dywersyjny A. K. kpt. Doliwy-Jerzego Kunickiego, ma piękną pozycję w ogólnym bilansie walki akowskiej dywersji. Nie jeden tor i nie jeden pociąg wyleciał w powietrze, nie jeden transport z zaplecza nie doszedł na front wschodni.

Oddział kpt. „Doliwy" eksponowany był bardzo wydatnie i w innych kierunkach działania: przyjmowanie zrzutów, walki i wypady partyzanckie w znacznym promieniu od zasadniczej bazy. Rósł tutaj piękny niewątpliwie żołnierz, dla którego powoli i niedostrzegalnie strzały i śmierć stawały się nałogiem. Wiemy, iż czas taki rodził często wielkich żołnierzy, ale nie sprzyjał formowaniu światopoglądu. Hodował żołdaków, a nie świadomych bojowników. W tym klimacie żyjąc i tak walcząc, mogę się dzisiaj do tego bez wstydu przyznawać. Nie chodziło w tej walce bowiem o przydziały do „rewolucji" czy „tradycji" jak tego gwałtem pragnie p .Paweł Jasienica. Chodziło o zachowanie życia narodowego. Masa A. K. była niewątpliwie ciekawym konglomeratem ideowym. Obok najpoważniejszych liczbowo mas Batalionów Chłopskich o nastawieniu niedwuznacznie antyklerykalnym, widzimy tutaj i konserwatywny odłam Stronnictwa Narodowego, ludzi niewątpliwie z ryngrafem.

Niewątpliwie chłop z B. Ch. myślał o przyszłej Polsce, jako o Polsce niepodległej — ale i Polsce reformy rolnej, niewątpliwie, młody endek marzył o Polsce pradziadowskiej szabli i ryngrafu. Nie oni jednak stanowili główny trzon warszawskiej młodzieży, która wprost z nad podręcznika poszła walczyć i strzelać.

Ruchy lewicowe widziały w tej wojnie niewątpliwie jasny i konsekwentny sprawdzian swoich przewidywań. Potwierdzało to słuszność obranej drogi jeszcze na przedpolach Madrytu.

Odłamy prawicowe, skrycie lub otwarcie faszyzujące przed wojną, w obliczu narastających zbrodni faszyzmu utraciły z miejsca grunt pod nogami. Ludzie tworzący NSZ nie wyciągnęli żadnych konsekwencyj ze swojego ideowego bankructwa, twardo obstając przy polskim faszyźmie.

Konsekwencją historyczną tego stanowiska była w Polsce „Brygada Świętokrzyska", współpracująca bojowo a potem sabotażowo-dywersyjnie z siłami zbrojnymi III Rzeszy, logiczną konsekwencją tej postawy były oddziały „żbika" w kieleckim, wyposażone i zaopatrywane przez armię niemiecką, a których ostrze działania wymierzone było na tych terenach przeciw aktywnie działającym oddziałom partyzanckim A. K. i A. L.

Na emigracji we Francji, po zawieszeniu broni, ludzie z ryngrafami próbowali przez długie miesiące, na szczęście bezskutecznie, kolaboracji. Niewątpliwie, p. Jasienicy fakty te są wiadome i znane. Wiadomym jest przecież, iż właśnie N. S. Z. najdobitniej akcentował swój kult dla ryngrafu i praszczurowej szabli. Ciekawe jest tylko, do jakiego obozu p. Jasienica tych ludzi zaliczy.

Ja p. Pawłowi Jasienicy proponuję inny podział. Jest taka scena w „Starym dworku" Adama Ważyka, scena niewątpliwie prawdziwa w swej politycznej wymowie. Gdy to dwór w obliczu widma obozu „rewolucji", a ściślej „reformy rolnej", dopuszcza się zdrady nakazu walki zbrojnej z okupantem, czyli tym samym zdrady narodu.

Bo tak było w przeszłej walce z faszyzmem, i to jest główną zdobyczą tej walki: że idea niepodległości narodu związała się nierozerwalnie i w procesie historycznym logicznie — z ideą ogólnoludzkiego postępu i sprawiedliwości społecznej.

Gdy ludzie lewicy bezkompromisowo walczyli, to ludzie „Tradycji", często, bardzo często potrafili — zdradzać. Historia dostarczyła dość dowodów na to: Michajłowicz, casus „Brygady Świętokrzyskiej", Vichy...

Ale nie używajmy już kryptonimów, nazywajmy te obozy rzetelnie i prawdziwie: obóz „postępu" i obóz „wstecznictwa". Wtedy nie ma żadnych niedomówień, nie ma żadnych nieporozumień. Zrozumiemy odrazu meritum zagadnienia.

To będzie różnica postawy w walce z faszyzmem robotnika, marszałka Broz-Tito, i królewskiego generała-kollaboracjonisty, Michajłowicza; postawa robotnika, generała Świerczewskiego, i obszarnika, gen. Broniewskiego. Chyba dostatecznie jasne?

Wróćmy jednak do ryngrafu. Ryngraf był dla wielu pięknym symbolem ich wiary. Nosili ten symbol i niektórzy powstańcy warszawscy, i niektórzy żołnierze I Armii. Ale chyba dla P. Pawła Jasienicy kwestia uczuć religijnych, to sprawa zbyt poważna, by naginać ją do potrzeb raptem wyłaniającej się koniunktury politycznej. Chowanie głowy w piasek wobec rzeczy oczywistych nie jest nigdy dobrą metodą i nigdy nie prowadzi do celu.

A. K. w wyobrażeniach masy żołnierskiej była bowiem tylko i wyłącznie „wojskową", i temu właśnie zawdzięczała swoją siłę i swoją niepowszednią masowość: rzekomej „apolityczności".

Niewątpliwie niesłychanie ciekawych i potwierdzających tę tezę danych dostarczyłyby liczby ujmujące statystycznie wiek roczników masy akowskiej.

Na przykładzie warszawskim opierając się, wypada stwierdzić, iż głównym trzonem były roczniki dopiero wchodzące w życie, roczniki, w grubym przybliżeniu 1920—1925. Młodzi ci najczęściej żyli tylko jednym pragnieniem: walką, i jedną tylko troską: aby byli najpełniej i najwłaściwiej użyci. Mając tyle lat co oni, przyznawało się rację zarówno Dmowskiemu, jak i Marksowi. Zależało to głównie od tego, kogo się wcześniej spotkało na swojej drodze.

Młodzi chłopcy z A. K. spotkali najwcześniej Stena i w Stena uwierzyli. Jedno było tylko pewne i niezachwiane: śmiertelna walka między nimi a faszyzmem. Dlatego też robienie z nich w tym okresie rycerzy „tradycji" byłoby tak samo niestosowne, jak wmawianie im, iż byli marksistami.

Nie inni byli chłopcy ze skierniewickiej grupy: Płoński, Panek, Szymczak czy Czaplarski. Kiedy ojczyzna zażądała od nich walki — Szymczak miał raptem lat... 14. Płoński i Panek nie wiele więcej.

Komórka, w której byli pod dowództwem „Orszy", była specjalnie przeznaczona do załatwiania „brudnych" spraw. Gorzka to ojczyzna i nieodpowiedzialny dowódca, który najmłodszym, najbardziej etycznie nieskrystalizowanym każe strzelać i zabijać. Taka walka często wypaczała i krzywiła charaktery. I to było wszystko, co wynieśli z konspiracji. Strzały i mocna więź braterstwa broni, która sprzęgła ich na stałe. Płoński opowiadał, jak to chciał pomóc Szymczakowi, aby ten mógł się uczyć, jak to próbowali razem garbować skóry, aby zdobyć pieniądze na życie i szkołę. Ale oddział wojskowy, to nie tylko żołnierze, ale i dowódca. Kim był „Orsza"? Już sam pseudonim mówi wiele. Był to właśnie typ Kmicica z orszanowskich czasów — odważny, mściwy, podstępny i głupi.

Przyszły dramatyczne przeżycia dla tych oszukiwanych i nieświadomych chłopców. Aresztowany został Doliwa.

Płoński tak o tym mówił na procesie, łamiącym się ze wzruszenia głosem: „Aresztowali Doliwę, myśmy go kochali jak ojca, bo on był nasz. Bo on nie trzymał z dowództwem tylko z nami". Dalej „Orsza" jest już motorem wszystkiego, co robią ci chłopcy. „Orsza" nie próbuje nawet wysilać się aby tych chłopców, dawnych swoich podkomendnych odpowiednio urobić. Dlatego też, w tym klimacie, nic dziwnego, iż wystarcza tylko „Orszy" szepnąć słówko o Ścibiorku jako o wroku A.K. a odrazu uzyskuje zgodę i zaufanie. Ścibiorek może zaszkodzić A. K. Ścibiorek prześladuje A. K. Oto argumenty dla młodych i głupich i niedowarzonych głów. „Orsza" odsłania przed nimi perspektywy „obozów koncentracyjnych dla komunistów, gdzie ich nauczą, jak zmieniać przekonania". Tak zeznaje rozbrajająco Szymczak. Odtąd droga jest tylko jedna. Tych chłopców już zaraził bakcyl faszyzmu. Zabijają bezbronnego Ścibiorka, potem 16-letni Szymczak morduje kobietę. Stąd już maleńki kroczek do bandytyzmu, a rezultat: napad rabunkowy na biuro Orbisu. Płoński jest już dzikim zwierzęciem. Gdy go zaczepiają ,strzela bez namysłu dwóm ludziom w łeb. W tym świetle wyrok jest tylko aktem samoobrony społecznej.

Sprawa Płońskiego nie jest tylko jakimś fenomenem zagubienia się człowieka w warunkach nowej rzeczywistości Po 1-szej wojnie światowej też musiano rozstrzeliwać starych żołnierzy frontowych za bandytyzm. Walka konspiracji dawała nieporównanie więcej okazji do skrzywień charakterów. W skierniewickim przypadku motorem działania jest „Orsza". On to wykorzystuje nad chłopcami swoją przewagę jako dowódca z okresu okupacji. Wszyscy: Płoński, Panek i Szymczak w pierwszym odruchu tłumaczą się jednym: rozkazem. To jest prawdziwe. Atmosfera Armii Krajowej hodowała właśnie dobrych i ślepych żołnierzy. Wydaje mi się, że nie rozumie tego Stefan Żółkiewski. A Jasienica wykorzystuje jego sformułowania, by gremialnie wtrącić wszystkich żołnierzy A. K. do „obozu tradycji".

Starałem się wykazać przykładowo rację mojej tezy o faktycznej „apolityczności" tych chłopców. Takich właśnie chłopców jest dziś tysiące. Nie można rzucać ich w objęcia obozowi wymarzonemu przez p. Jasienicę. Trzeba zrobić wszystko, aby zrozumieli oni prawdę czasu. By odpowiedzieli na słowa poety, którego wierszy, jak — „Droga" czy „Bagnet na broń!" uczyli się tak gorliwie w konspiracji na pamięć:

— O przyjaciele, dzieją się dzieje,
Walka za nami, walka przed nami...

Generałowie tych chłopców już się umiejscowili w historii, dla nich gniewnej i niełaskawej. Chodzi o masę żołnierską, chodzi o pełnię rewizji, nietylko w stosunku do ich zasług bojowych w walce z faszyzmem, co w zasadzie nastąpiło, ale i w stosunku do masy akowskiej, masy niewątpliwie w przeważającym procesie pełnej dobrej woli. Krótko mówiąc — powtarzam jeszcze raz — chodzi o pomoc i wyrozumiałość; tak samo jak z drugiej strony chodzi o konsekwentną i bezlitosną rozprawę z bandytyzmem i politycznym zdziczeniem.

Jerzy Piórkowski.

EDMUND OSMAŃCZYK LAUREATEM NAGRODY „ODRY"

Sąd konkursowy nagrody literackiej czytelników tygodnika „Odra" w składzie doc. Stan. Helsztyński, dyr. Roman Lutman, prof. T. Mikulski, Kazimierz Wyka, Wilhelm Szewczyk, Helena Wielowieyska i Wojciech Żukrowski na zebraniu w dniu 27.1.47 postanowił przyznać nagrodę w kwocie 150.000 złotych wybitnemu publicyście i bojownikowi o polskość Ziem Zachodnich, Polakowi z Dolnego Śląska, Edmundowi Osmańczykowi za całą dotychczasową działalność pisarską ze szczególnym uwzględnieniem ostatnio wydanej książki „Sprawy Polaków". Edmund Osmańczyk jest doskonałym znawcą stosunków polsko-niemieckich i wybitnym publicystą.

Edmund Osmańczyk urodził się w r. 1913 pow. strzelińskim na Dolnym Śląsku i do 1939 mieszkał stale w granicach III Rzeszy dając się poznać jako publicysta i czynny działacz w walce z naporem germańskiego imperializmu. Okres okupacji spędził w Warszawie.

Książkę Edmunda Osmańczyka p. t. — „Sprawy Polaków" omówimy w najbliższym numerze „Kuźnicy".

KRONIKA RADZIECKA

Ostatnio daje się zauważyć w Rosji wzrost zainteresowania twórczością dramatyczną Czechowa. Teatry coraz częściej grają jego utwory, krytycy coraz częściej rozpatrują walory jego utworów scenicznych. Jedną z najbardziej wnikliwych prac jakie ukazały się w Rosji w ciągu ostatnich lat jest monografia A. Roskina poświęcona wystawieniu „Trzech sióstr".

Omówienie niniejsze oparło się głównie na tej monografii.

1. Przed rewolucją repertuar „Teatru Artystycznego" w Moskwie w znacznej mierze składał się ze sztuk Czechowa. Nie raz tak się zdarzało, że przedstawienia „Wujaszka Wani", „Trzech sióstr" i „Wiśniowego sadu" szły jedno za drugim tworząc niejako cykl. Również prowincjonalne teatry chętnie wystawiały jego sztuki. Jednakże właśnie w tym okresie zarzucano Czechowowi — dyletantyzm. Pisano o braku scenicznego nerwu w jego sztukach. Nowatorstwo pisarza poczytywano za największą wadę.

Po rewolucji zaczęto cenić jego twórczość dramatyczną, jednakże sztuki jego zeszły na długo z repertuaru. A jeśli nawet „Teatr Artystyczny" wystawiał „Wujaszka Wanię" albo „Wiśniowy sad", to raczej nawiązując do swojej tradycji.

Gdy nastąpił okres rehabilitacji twórczości dramatycznej Czechowa, gdy zaczęły ukazywać się monografie podnoszące niezwykłą sceniczną wartość tych utworów, — sztuki Czechowa całkowicie znikły z repertuaru .

Jakież jest źródło tych nieporozumień?

Wynika to — pisze A. Roskin — z nowatorskiego charakteru tych sztuk, gdzie osobowość pisarza zarysowuje się dobitniej niż w opowieściach. Zresztą podkreślano nieraz, że twórczość dramatyczna Czechowa będąca wyrazem dążenia do dużych form, zastępowała mu powieść. Całkowicie nieznana starej dramaturgii szczegółowość epicka, oto co charakteryzuje nowatorski styl Czechowa jako pisarza dramatycznego.

Jeszcze przed rewolucją zadawano sobie pytanie, czy sztuki Czechowa są tylko wyrazem swej epoki. A więc jeżeli zmienią się obiektywne warunki czy nie stracą one wartości. Przed rewolucją wystawiając te sztuki starano się podkreślić nastrojowość i ledwo dostrzegalne psychologiczne odcienie, które panowały nad dramatyczną akcją. Rewolucja zmieniła warunki życia, zmieniła się psychologia widza, dlatego ów właśnie sposób wystawiania musiał zniknąć. W tym zresztą czasie sztuki Czechowa zaczęły schodzić z repertuaru. Dystans jaki się wytworzył pozwolił dostrzec ogromną skalę twórczą pisarza. To co przedtem wydawało się osobistym, nabrało historycznego znaczenia. Zblakły one jako „intymne dramaty", zmieniły się w sztuki-opowieści, malujące życie przedrewolucyjnej Rosji. Wyłoniło się więc zagadnienie, jak te sztuki należy wystawiać. By odpowiedzieć na to pytanie należało zrozumieć istotę jego światopoglądu. Trzeba było wyzwolić Czechowa od czechowszczyzny tj. od całej atmosfery, jaka wytworzyła się dookoła jego sztuk. Należało uświadomić sobie, że Czechow nie był „pesymistą", ani „piewcą zmierzchu". W przedrewolucyjnych przedstawieniach właśnie te momenty starano się wydobyć i podkreślić. Czechow nie był pisarzem, który starał się jedynie rozwiązać estetyczne, czy też artystyczne zagadnienia. Życie opisywał takie jakim ono jest ze wszystkimi jego ciemnymi stronami szczerze i prawdziwie, nie ozdabiał. Potrafił, i to było właśnie ogromną twórczą jego zaletą, dostrzec w codziennych sprawach urok poezji. A jeżeli zdołał wniknąć w psychikę swoich bohaterów, nie znaczy to bynajmniej aby należało nazywać go bratem miłosierdzia przedrewolucyjnej inteligencji. Rzecz jasna, że pisarze symboliści tacy jak np. Z. Gipius albo A. Biełyj podkreślali w swoich artykułach właśnie pesymistyczne momenty, czyniąc z nich podstawowy i zasadniczy motyw jego twórczości dramatycznej. Wystawiać utwory Czechowa na scenie nie znaczy bynajmniej zaśpiewać cichą i uczuciową pieśń współczucia dla posępnego człowieka, dla czasów zmierzchu i zmroku. Prawdziwie wyrazić Czechowa na scenie — to znaczy przede wszystkim wyjaśnić widzowi czego żądał Czechow od człowieka i dla człowieka, jego niepokój, gdy uświadamia sobie, że więcej „tak żyć nie można".

Czy sławne przedstawienia sztuk jego w „Teatrze Artystycznym" odpowiadały pisarzowi? Na to pytanie pisarz udziela odpowiedzi odmownej. W rozmowie z A. N. Tichonowym Czechow powiedział: „Mówicie, żeście płakali na moich sztukach. Tak, nie tylko wy. A przecież nie dlatego napisałem te utwory, żeby Aleksiejew uczynił je płaczliwymi. Innego chciałem. Chciałem uczciwie powiedzieć ludziom: „Popatrzcie na siebie jak źle i smutno wciąż żyjecie". Najważniejsze to, że by ludzie zrozumieli, a gdy zrozumią bezwarunkowo stworzą sobie inne, lepsze życie. Nie zobaczę go, ale wiem, że będzie całkowicie inne, niepodobne do tego jakim jest... A dopóki życia takiego nie ma, ciągle i ciągle będę mówić ludziom: „Zrozumcie jak źle i smutnie żyjecie. Nad czym płaczecie?"

Teatr znalazł nową koncepcję scenicznego wystawienia sztuk Czechowa na scenie, co tym samym zbliżyło go do nowego widza. Dlatego też sztuki jego cieszą się obecnie tak dużym i trwałym powodzeniem w Związku Radzieckim.

j. s.

Ankieta czytelników „Kuźnicy"

Jakich dziesięć książek z zakresu literatury polskiej i obcej należy w Polsce wydać jak najszybciej.

Termin nadsyłania odpowiedzi 1 marca 1947 r.
Szczegóły w numerze poprzednim (6) „Kuźnicy".

O KSIĄŻCE IGNACEGO FIKA*)

Wznowienie „Rodowodu społecznego literatury polskiej“ Fika może budzić dość sprzeczne opinie. Jest to bowiem książka, która z jednej strony była pierwszą próbą socjologicznego ujęcia dziejów naszej literatury (i w ten sposób była przez historyków literatury rozumiana), z drugiej zaś była utworem publicystycznym, mającym oddziałać na twórców literatury międzywojennej. W tej pierwszej funkcji książka Fika była pozycją chybioną ze względu na tradycjonalizm wulgarnego socjologizowania, zaś jako dzieło publicystyczne nie miała należytego oddźwięku, bo była głosem wołającego na puszczy. Dzisiaj głos ten nadal jest bardzo na czasie toteż wydanie książki Fika jest cennym dowodem poczucia aktualności u wydawców. Obawiam się tylko, żeby wstęp nie wyrządził szkody sprawie, która autorowi była bliska, a na której prawidłowe postawienie u nas niestety wtedy było jeszcze za wcześnie. Jako wzór socjologicznej historii literatury książka Fika na prawdę nie jest godna naśladowania, ale też należało we wstępie przed tym przestrzec, żeby ataki słusznie skierowane przeciwko autorowi, nie obróciły się niesłusznie przeciw reprezentowanej przez niego ideologii naukowej. Sprawa nie jest popularna ani dostatecznie znana, toteż wymaga specjalnych wyjaśnień.

Założenia teoretyczno - literackie Fika dopuszczają współistnienie różnych ontologii literatury: uwór jest charakterystyczną konstrukcją, którą zajmuje się poetyka; jest poza tym wytworem procesu psycho-biologicznego, co upoważnia nas do rozpatrywania go w związku z całością psychiki twórcy; jest zespołem słów, toteż zajmuje się nim lingwistyka; — jest wreszcie zjawiskiem społecznym, wobec czego trzeba wyjaśnić jego strukturę socjalną oraz wydobyć zeń wartości, będące ilustracją zjawisk społecznych.

Tego rodzaju mozajkowość ontologiczna nie jest już tolerowana w teorii nauki. Obecnie raczej opieramy się na monizmie ontologicznym, który w zastosowaniu do literatury każe określać utwór jako wyżej zorganizowaną wypowiedź wyjaśnianą zarówno od strony zasad organizowania materiału językowego jak jej znaczenia i funkcji społecznej. Badania literackie możliwe są według tej teorii w ramach szeroko rozbudowanej morfologii i semantyki, gdyż literatura istnieje jako zespolony świat kształtów i sensów. W tym ujęciu nie ma więc przeciwieństwa ontologicznego przedmiotu poetyki i socjologii literatury, nie mówiąc już o tym, że w ramach tak rozumianej teorii nie będzie miejsca na psychologizm czy biologizm propagowany przez Fika na równi ze wszystkimi innymi.

Jakże teraz przedstawia się uprawiana przez Fika socjologia literatury? Od razu rzuca się w oczy niesłychany prymitywizm ujęcia. Wyjaśnić socjologicznie literaturę, to — dla Fika — opisać pozycję społeczną jej twórców. Często nawet i to nie jest potrzebne: „wystarczy niekiedy sama analiza psychologiczna twórców literatury. Konkretnie bowiem indywidualności ludzkie są ostateczną manifestacją charakteru epoki“. Wprawdzie w dalszym ciągu zastrzega się Fik przed zbyt mechanistycznym stosowaniem sformułowanych postulatów, przyznaje pewną autonomiczność literaturze, mówi o tradycji literackiej i konieczności jej przyswojenia dla racjonalnego przebiegu rozwoju — niemniej jednak są to wszystko deklaracje, które nie mają pokrycia w tekście książki.

Przed przedstawieniem rozwoju literatury polskiej od średniowiecza do romantyzmu włącznie. Fik konstruuje ramowy schemat wynikający z tezy o zależności literatury od rozwoju klasy społecznej jej twórców. Ujęcie, owszem, socjologiczne. Jest to jednak socjologizm dość podejrzanego gatunku. Klasę społeczną traktuje się tutaj jakoś biologicznie. Mówi się o niej jak o organiźmie żyjącym, kóry wzrasta, ma swój okres rozkwitu, wreszcie okres upadku i zamierania. W związku z tym analogicznie „musi“ przebiegać związana z tą klasą literatura. Moment narodzin: powstaje nowy prąd literacki, następuje starcie, próba przeciwstawienia nowych wartości starym, panuje chaos i bunt. W rezultacie mamy nastrój niecierpliwości, popłochu, katastrofizmu. Literatura ma charakter subiektywny, przeważają emocje, szerzy się indywidualizm. W razie zwycięstwa nowych tendencji następuje nagłe obniżenie temperatury — rodzą się tendencje naturalistyczne, na czoło wysuwa się reportaż, literatura rozgrzesza z niezdolności do czynu. W miarę stabilizowania się sił społecznych wysuwają się co krok ważne problemy domagające się rozwiązania. Literatura zbliża się do życia, dostrzega wartości społeczne — powstaje realizm, będący wyrazem twórczej aktywności autora. Nowa faza następuje z chwilą wyczerpania się sił twórczych klasy społecznej — pojawia się dekadentyzm, literatura, tracąc związek z rzeczywistością, kompensuje to wynalazczością w zakresie formalnym a poza tym zapuszcza się w sferę spirytyzmu, metafizyki, fantastyki, snu. Powstaje literacki świat złud i fikcji, zamiłowanie do abstrakcji i symbolizmu, hasło sztuka dla sztuki. I wreszcie koniec; sytuacja dojrzała do zmiany ról. pojawia się na widowni nowa klasa społeczna i nowa literatura.

Streściłem rozmyślnie tę historię naturalną rozwoju literatury, żeby wykazać ahistoryczny, oderwany od konkretnego podłoża charakter tego rodzaju dialektyki. Sformułowane przez Fika prawa rozwojowe oparte na prawach rozwoju żyjącego organizmu mogą przypadkowo pasować do którejś sytuacji historycznej, ale trudno ją uznać za wystarczającą podstawę mającą służyć analizie rozwoju wszelkich procesów literackich. Jako pomoc teoretyczna prawa takie są po prostu zbędne. Od razu zresztą okazało się, że nie odpowiadają one rzeczywistości polskiej. Sam Fik stwierdza, że „przez dobre pięćset lat dzieje Polski nie stanowią odpowiedniego przykładu dla zilustrowania zajmujących nas tu rozważań“. Jeśli w dalszym ciągu dadzą się jakoś dopasować, to tylko dzięki grubym uproszczeniom, których się autor dopuszcza. Od „żywota człowieka poczciwego“ do „Pana Tadeusza“ trwa nieodmiennie okres literatury szlacheckiej, którego zróżnicowanie wewnętrzne jest dla Fika niedostrzegalne. Jedyną cechą mającą wyjaśnić rozwój literatury jest jej klasowo-szlachecki charakter. Teza ta jest wprawdzie słuszna, ale niewystarczająca dla uchwycenia przemian, jakie w międzyczasie następowały.

Tak więc cały pierwszy rozdział jest nieudany zarówno w partii teoretycznej, jak historycznej. Dwa następne rozdziały mają już zgoła inny charakter i trzeba przyznać, że w dużym stopniu ratują książkę. Jako socjologicznie pojęta historia literatury pozytywizmu i Młodej Polski rozdziały te nadal nie przedstawiają większej wartości, natomiast są świetną publicystyką pisaną z punktu widzenia działacza, który chce nadać odpowiedni kierunek polityce kulturalnej na odcinku literatury, chce ułatwić współczesnym pisarzom wgląd w rodowód społeczny swego pisarstwa. Zarówno bowiem pozytywizm jak Młoda Polska stanowiły wtedy, jak zresztą stanowią i dzisiaj, żywą tradycję dla literatury współczesnej Fikowi, na którą chciał on swą książką oddziałać. Stąd właśnie znajdujemy tu ton aprobaty i pretensji, jaką Fik - publicysta żywił względem niedawnej przeszłości, umożliwiając w ten sposób poszerzenie świadomości tych twórców, którzy sami byli do tego niezdolni. W rezultacie książka ta jest nie tyle dokładną interpretacją socjologiczną literatury pozytywizmu i Młodej Polski, co spojrzeniem poprzez jej problematykę, jej wzloty i upadki na współczesność, która powstaje i z jej tradycji korzysta.

W ten sposób rozumiejąc sens przeszło dwu trzecich tej książki nie warto wytykać błędów, niedociągnięć czy uproszczeń, które można by wskazać z punktu widzenia rygorów nauki. Od publicystyki żąda się nie ścisłości naukowej, lecz sugestywnie podanych przeświadczeń zgodnych z przedstawianą rzeczywistością i skutecznie służących osiągnięciu zamierzonego celu. Książka Fika jest publicystyką sprzed lat dziesięciu ale walka o nową literaturę rozpoczęta przez Fika nie tylko trwa, ale jeszcze przez długi czas nie zejdzie z łamów czasopism literackich. Książka ta jest nadal atrakcyjna.

Jeśli chodzi o spodziewanych czytelników, książka na ogół dobrze jest zaadresowana przez wydawców: „Dziś — tak jak i przed wojną — trafić winna nie tyle do rąk ucznia, co nauczyciela, nie wychowanka lecz instruktora“.

Kazimierz Budzyk

*) Fik Ignacy, Rodowód społeczny literatury polskiej. Kraków, 1947, Spółdzielnia Księgarska „Czytelnik“.

PRZEGLĄD PRASY

Nasze powojenne kontakty prasowe z zagranicą ograniczały się dotąd do mniej lub bardziej obszernych kronik w pismach tygodniowych lub do kilku artykułów sprawozdawczych, dotyczących zresztą przeważnie zagadnień kulturalnych. Przypominam przy okazji cykl artykułów o Francji Tadeusza Brezy, drukowanych w roku ubiegłym w „Odrodzeniu“. W bieżących tygodniach bibliograficznych należy również odnotować artykuły Juliana Przybosia, omawiające życie literackie w nowej Czechosłowacji. Artykuły te zamieszczone były w „Odrodzeniu“. Reportaże z zagranicy, a tych mieliśmy w okresie powojennym sporo i to na wysokim poziomie (Wionczek, Osmańczyk, Kott, Pruszyński) przynosiły obfity materiał zarówno polityczny jak i obyczajowy, ale brak stałej informacji o życiu politycznym zagranicy, brak systematycznego i możliwie pełnego oświetlenia najrozmaitszych problemów wielkiej polityki międzynarodowej był silnie odczuwany przez czytającą publiczność. Pomijam tu całkowicie wyborne niekiedy korespondencje w pismach codziennych; brak nam było natomiast doniedawna periodyku, który by możliwie wyczerpująco omawiał sprawy międzynarodowe ze szczególnym uwzględnieniem oceny tych spraw z punktu widzenia interesów Polski.

Obecnie mamy już takie pismo. Jest nim wydawany przez „Wiedzę“ tygodnik poświęcony sprawom międzynarodowym: „Świat i Polska“. Dotychczas ukazało się dziewięć numerów tygodnika, a w każdym z nich można było znaleść wiele interesujących informacji z zakresu polityki międzynarodowej. Dwa numery wydane w bieżącym roku wydawniczym (nr. 1 i nr. 2) przynoszą obfity materiał dotyczący powojennych Niemiec i wyjaśniający układ stosunków między zwycięskimi państwami demokratycznymi i pokonanymi Niemcami. Ewa Grolicka w artykule „Kulisy reform gospodarczo-społecznych“ omawia programy gospodarczo-społeczne poszczególnych niemieckich partii politycznych poświęcając sporo uwagi projektowi Socjalistycznej Partii Ludowej.

Gustaw Butlow obszernie informuje nas w w drugim już z kolei artykule („Wychodźtwo polskie w ZSRR w latach 1939—1946“) o dziejach powstania Związku Patriotów Polskich i formowaniu się Dywizji Kościuszkowskiej.

Sporo miejsca poświęcono w nr. 1 kwiestiom ekonomicznym: o sytuacji finansowej Węgier obszerny artykuł nadsyła własny korespondent „Świata i Polski“, Michał Sawicki pisze o „Francuskim Planie Czteroletnim“.

O Związkach zawodowych w Holandii i o ich znaczeniu dla demokratyzacji kraju pisze w artykule „Holandia walczy o lepsze jutro“ J. S. Znarowski. Wreszcie Jan Rosner zamieszcza korespondencję własną ze Szwajcarii. Podaję tu umyślnie pobieżny wykaz tytułów i zagadnień, którym poświęcono pierwszy tegoroczny numer „Świata i Polski“, by tym bardziej podkreślić różnorodność materiału, zawartego w tym piśmie

W nr. 2 zwraca uwagę artykuł wstępny Jana Skiby „Holandia a Niemcy“ oraz artykuł Grzegorza Jaszuńskiego „Sjonizm na rozdrożu“. Ten numer został ułożony wokół kilku zagadnień — sprawa ekonomicznej sytuacji Niemiec, sprawa żydowska oświetlona zarówno we wspomnianym artykule Jaszuńskiego jak i w sprawozdaniu z kongresu w Bazylei pióra Władysława Szczerbica, Wreszcie numer zamyka ciekawy artykuł informacyjny Bogusława Kożusznika: „Stosunki polsko czechosłowackie na emigracji w latach 1939—1945“. W drugim z kolei artykule z tego cyklu znajdujemy pełny tekst odpowiedzi ówczesnego szefa rządu, Władysława Sikorskiego, na memorandum Benesza z dnia 25 lipca 1942 roku.

Prócz bogatego i żywego materiału nadsyłanego bądź przez korespondentów specjalnych z zagranicy, bądź też uzyskiwanego od specjalistów, „Świat i Polska“ wprowadził kilka działów stałych, wśród których dział najbardziej interesujący pod nazwą „O czym piszą w stolicach“ przynosi przekłady fragmentów wypowiedzi publicystycznych z gazet europejskich rozmaitych kierunków politycznych. Ten przegląd prasy europejskiej prowadzony z punktu widzenia ważnych wydarzeń polityki międzynarodowej zasługuje na wyróżnienie.

Drugim działem stałym jest rubryka „Ludzie i fakty“ — są to króciutkie, monograficzne charakterystyki zagranicznych działaczy politycznych. „Świat i Polska“ powinien spełnić rolę vademecum w sprawach polityki międzynarodowej dla szerokiej publiczności. Z tego względu wydaje mi się, że obecny układ i format tego interesującego tygodnika nie jest korzystny. Przypominam tu podobne przeglądy wydawane w Anglii i Francji.

Pierwszy tegoroczny numer „Twórczości“ przynosi w dziale prozy opowiadanie Aleksandra Janty „Podsłuch“, w dziale poezji — utwory młodych poetów łódzkich, wśród których wyróżniają się Andrzej Braun i Jerzy E. Miller.

Z pozycji niewątpliwie cennych i interesujących znajdujemy w tym numerze wspomnienia Johna Galsworthy o Conradzie, stanowiące jedną z prac zbioru — jak nas o tym informuje przypisek — wydanego pod wspólnym tytułem „Zamki na lodzie“.

O „Weselu“ jako dramacie symbolicznym pisze Stanisław Gerstman. Ponadto z obszerniejszych essayów znajdujemy tu: „Matematyka jako element w historii myśli“ Alfreda N. Whiteheada (przekład Anny Iwaszkiewiczowej), „Rola podmiotu mówiącego w epice, liryce i w poezji dramatycznej“ Juliusza Kleinera. Jak widzimy dobór autorów i zagadnień świadczy o poważnym poziomie jedynego polskiego miesięcznika krytyczno literackiego, choć nie ze wszystkimi tezami przytoczonych artykułów można by się zgodzić.

W dziale „Sprawy i troski“ znajdujemy w bieżącym numerze „Twórczości“ wspomnienie o Sienkiewiczu z czasów jego pobytu w Wiedniu w roku 1914, pióra Alfreda Wysockiego. O Michale Bałuckim pisze Józef Słotwiński, o „Małżeństwie Józefa Conrada Korzeniowskiego“ Stanisław Okęcki. Ten dział „Twórczości“ wydaje mi się bardzo pożyteczny i cenny. Wspomnienia i realia dotyczące nawet niedawnych czasów giną u nas bardzo szybko, w przeciwieństwie do Francji, gdzie utrwala się je pieczołowicie lub ZSRR, gdzie istnieją całe wydawnictwa poświęcone korespondencji. pamiętnikom etc. Niewątpliwie wspomnienia, listy, fragmenty pamiętników formują niekiedy bardziej precyzyjny sąd o danym okresie literackim niż dzieła, które ten okres reprezentują. Dlatego też należy podkreślić trafność pionierskich poczynań redaktora „Twórczości“, który już w kilku numerach tym właśnie wspomnieniom poświęcił sporo miejsca.

ph.

DWA SYSTEMY

Na jesieni zeszłego roku paryski dziennik prawicowy, „Le Monde“ ogłosił cykl artykułów na temat sowieckiej zony okupacyjnej w Niemczech. Artykuły te czytał cały Paryż bez względu na przekonania polityczne, mimo, że przekonania polityczne redakcji „Le Monde“ są aż nadto znane.

Dziennik ten jest przedłużeniem kollaboracyjnego „Temps“. Pod nową nazwą służy tym samym interesom: prawicy mieszczańskiej, związanej dziś z P. R. L-em i ruchem gaullistowskim.

Ale „Le Monde“ jest pismem znakomicie redagowanym. Walczący dziennik polityczny ma do wyboru dwie postawy wobec przeciwnika: albo lekceważyć go, stwarzając pozory jego słabości, albo oceniać jego istotne siły, wskazując niebezpieczeństwo ich niedostrzegania. „Le Monde“ obrał tę drugą metodę i dlatego, mimo, iż jego linia polityczna jest jawna, ten otwarcie reakcyjny dziennik zdobył poczytność nawet u przeciwników.

Co pisał „Le Monde“ o sowieckiej zonie okupacyjnej? Rzeczy bardzo proste. Że odbywa się tam niefałszowana denazifikacja, demilitaryzacja i demokratyzacja. Że Niemcy w niej pracują dość ciężko, aby zapomnieć o Nibelungach. Że jest to jedyna zona, w której uchwały poczdamskie na temat Niemiec nie zostały potraktowane jak dobry żart kilku ministrów.

„Le Monde“ ostrzegał przed niedocenieniem siły moralnej systemu zastosowanego przez ZSRR wobec pokonanego wroga. Prawica polityczna na zachodzie jest na tyle mądra, aby zdawać sobie sprawę z oddziaływania wartości, których sama nie posiada. Jest dziś jasne pod każdą szerokością geograficzną, jest dziś niewątpliwe dla ludzi, którzy nie kłamią przed sobą, że Stany Zjednoczone po śmierci Roosevelta nie dysponują siłą moralną, i że nie dysponuje nią Anglia mimo odejścia Churchilla. Wojna 1939 - 1945 wprowadziła nową wartość do układu sił na świecie: potęgę moralną dokonań ZSRR. Jest to obiektywna rewelacja ostatniej wojny.

Prawica polityczna na zachodzie potrafi doceniać wagę zjawisk nie tylko materialnych. Autor artykułów w „Le Monde“ na pewno zdawał sobie sprawę, że uspołecznione warsztaty Związku Radzieckiego wytwarzają więcej niż skartelizowane przemysły mocarstw anglo-saskich i że dla tej nadwyżki miliony ludzi chciało ginąć nad Dnieprem i Wołgą. Ta nadwyżka jest moralna i polega na tym. że obywatel Związku w losach całości widzi realizację swego własnego losu. Czy robotnik trustu stalowego w Ameryce lub w Anglii odczuwa to samo?

✻

W ostatnich dniach Związek Radziecki wystosował notę do mocarstw zachodnich w sprawie reorganizacji społeczno-ekonomicznej Niemiec. Postulaty w niej zawarte wynikają nie tylko z doświadczeń radzieckich dwuletniej okupacji zony. Opierają się na doświadczeniach szerszych i głębszych. Czytając ją, o tym zapewne pomyślał autor artykułów drukowanych w „Le Monde“ pół roku temu. ZSRR jest dziś mocarstwem duchowym i materialnym. Przez umiejętne zastosowanie zasad socjalizmu w budowie państwa — narody ZSRR z gruzów podźwignęły potężną konstrukcję, która dziś staje się nowym modelem urządzeń społeczno - gospodarczych. I dziennikarz prawicowego pisma na Zachodzie wie dobrze, że nota ZSRR w sprawie Niemiec jest wielką propozycją uczynioną światu: Pozwólcie z gruzów odbudować w tej części Europy wartości moralne. Pozostawcie tę część Europy w spokoju od spekulacji kapitalistycznych. Pozwólcie tu odbudować gospodarstwo na nowych zasadach, sprzyjających rozwojowi człowieka. Wtedy przestaniecie być zagrożeni od tej strony.

Czy rozumiecie siłę tych słów? Polega ona na rzeczy bardzo prostej: że musi się na nie zgodzić każdy uczciwy człowiek. Holender, Norweg, Czech, Polak czy Szwajcar.

✻

„Nasza polityka wobec Niemiec jest równie szaleńcza, jak nasze zarządzenia gospodarcze. W Poczdamie postanowiono, iż poziom życia w Niemczech nie może być wyższy, niż w innych państwach europejskich. Cóż za szaleństwo! Jedynym rezultatem takiej polityki będzie uniemożliwienie powstania pokojowych demokratycznych Niemiec... Wina p. Bevina jest dwojaka: nie umiał się przeciwstawić zagrabieniu ziem niemieckich i zniszczeniu potencjału przemysłowego Niemiec“.

Te słowa pisze tygodnik angielski „Forward“. Sens jasny: Niemcy muszą utrzymać się jako bastion polityki angielskiej w Europie środkowej Niemcy muszą mieć Śląsk, bo Anglia nie chce kupować od Polski węgla dla przemysłu niemieckiego. gdyż przemysł niemiecki przestanie być wówczas dla Anglii opłacalny.

✻

Dwa systemy polityki zagranicznej — **dwa** systemy moralności. Żądania angielskiego tygodnika są krótkim konspektem istotnej polityki trustów angielskich wobec Niemiec. Polityki, która godzi w każdego Europejczyka, czy będzie nim Polak, Czech, Norweg. Holender lub Szwajcar. Nicość moralna tej polityki polega właśnie na tym. Że głosi hasła, na które nie może się zgodzić żaden uczciwy człowiek.

Kandyd.

KORESPONDENCJA

LIST DO REDAKCJI

PRZECINEK I IDEOLOGIA

Będąc dłuższy czas za granicą, nie mogłem reagować na szereg wypowiedzi dotyczących mojej twórczości.

W sprawie krytyki „Wierszy z obozu" okazuje się, że jeden przecinek może spowodować wiele zamętu i to nawet natury ideologicznej.

Brak przecinka w wierszu moim pt. **„Prawo wolnego człowieka"**, spowodował bowiem sporo mętnych wywodów zarówno tzw. krytyki lewicowej (B. Dudziński w „Trybunie Robotniczej" i „Głosie Ludu") jak i tzw. prawicowej (recenzja H. K. w „Tygodniku Warszawskim"). Ponieważ chodzi tu o sprawy tak zasadnicze jak wmawianie w autora pewnego poglądu, pozwolę sobie na sprostowanie owych wywodów. Krytyk „Tygodnika Warszawskiego" twierdzi po rzekomo głębokich rozważaniach na tematy „nadprzyrodzone", **że mimo oczywistego buntu przeciw obozowi, jednak uznaje on (czyli ja, przyp. autora) za coś pozytywnego tę okrutną z obu stron walkę — tak nasze(?) „czasy pogardy" uznaje on w sercu swoim za coś jednak cennego"**, cytując, zresztą błędnie, zakończenie wspomnianego wiersza

Krzyczę zza krat, (przecinek)
kolczastych drutów
wiarę upartą
w nieludzki czas

Na podstawie tej cytaty insynuuje krytyk, iż „świat, który Hołuj przeciwstawił obozom koncentracyjnym i wojnom będzie zimny, surowy, twardy, kamienny — też nie człowieczy".

Podobnie pisze B. Dudziński ...„bo ten właśnie czas — to okrutny, lecz może konieczny etap na drodze do „wielkiej przemiany braterstwa wolnych".

Wyjaśniam wobec tego, że w cytowanym wierszu ma być:

Krzyczę zza krat, (przecinek)
Kolczastych drutów, (przecinek)
wiarę upartą, **(przecinek)**
w nieludzki czas.

Wiarę, nie — w co — lecz **kiedy. W „czasie „nieludzkiego czasu", w trakcie jego triumfu i trwania.** Nie moja to wina, że wydawnictwo „Książka" nie ma zwyczaju przysyłania korekty. „Tygodnik Warszawski", w inteligentnie zresztą napisanej recenzji „ruga" mnie, żem w obozie „nie znał Boga ukrzyżowanego", że „nie przebędę nigdy przepaści do chrześcijaństwa", że postawa moja jest cyniczna, że ci, którzy przebyli obozy i podobnie czuli się „na zawsze zatruci".

Jasne, byłem ateistą w obozie i jestem nim nadal. Lecz jak myśli recenzent „Tygodnika", czy my ludzie obozów traciliśmy wiarę dlatego, że — jak sam pisze — „wyższe potęgi Dobra" nie interweniowały wobec tak strasznego cierpienia"? Nie o nasze **cierpienia** nam chodziło, lecz o postawę wobec wszelkiej niewoli, o walkę ze złem, które nie tkwiło bynajmniej w ciemnych zakamarkach duszy wroga, ale w konkretnym systemie, w faszyźmie. Gdzież tu postawa „samotnej izolacji", o której pisze krytyk, izolacji maskowanej tylko rzekomo poczuciem wspólnoty z towarzyszami. Izolacją byłoby zatapianie się w modłach, lecz izolacją nie była na pewno nasza walka, nasz ruch oporu, przywracający więźniom godność ludzką. Czy cynizmem jest wiara w zwycięstwo dobra nad przemocą, niedopuszczenie do kapitulacji moralnej? Czy cynizmem jest raczej postawa: bógtakchciał? I postawa niezbadanych jego wyroków?

Myślę, że moje wiersze obozowe wypowiadają nie tylko mnie i mój świat, ale również tysiące moich towarzyszy.

Aby nie być gołosłownym:

W wierszu „Sprawa męska" jest oczywiście rozpacz i zwątpienie. Ale już wówczas, w pierwszym wierszu obozowym pisałem w imieniu dziesiątek tysięcy, którzy czuli i myśleli w obozie: „sercom męskim na próżno skarga, mocny, będzie — nie czekał — rosnął. Lata, lata. Niech będzie walka".

W następnym wierszu „Patrząc na rozstrzelanie przyjaciela" każdy człowiek obozu rozpozna to straszliwe uczucie bezsiły, jakie go ogarniało w związku z tematycznym tytułem wiersza. Ale czy to postawa izolacji i cynizmu, jeśli piszę:

Podaj wzrok swój przez mury wprost nam,
który będziesz popiół i ogień,
Niema jest nasza **groźba**
którzy idziemy po tobie...
Tu, na ziemi bądź wola twoja,
ogród cichy niech zmieni w żużel
Powstaniemy — bo z tobą wojna,
zemsta i burza,

lub w „Przeciw otchłani", czy nie dosyć wyraźnie przemawia obraz walki? Czy p. H. K. nie czytał:

Spotykamy się z wszystkich stron świata
przeciw w przerażonej litanii klęczącemu...

Czego wyrazem, wiary czy zwątpienia w człowieka jest wiersz „Czterech wielu" (poświęcony konspiracyjnej, naczelnej „czwórce" obozu). Cynizm jest ucieczką i samoobroną jednostki. Cynizm nie może być orężem zbiorowej walki, nie służy zwycięstwu żadnej idei.

Nawet z głębi otchłani („Taka piosenka") płynęła ta duma walki i pewności zwycięstwa, której nie dawał nam chrystianizm, a właśnie, w danym wypadku marksizm. Najlepszą odpowiedź znajdzie pan H. K. w wierszu najbardziej „programowym" „Trzy drzewa". Nie, nie za ten świat, wychowany w przez blisko dwa tysiące lat w tak zwanej kulturze chrześcijańskiej walczyliśmy i ginęliśmy...

Gdzież w mym zbiorze widzą krytycy z lewicy i prawicy wiarę w automatyzm dziejowy, w jakąś „okrutną i surową przeszłość?" Czy w tym credo ...„wierzę w człowieka, w prawo wolności, gdy popiół sieją z nas tu do rzek, w ducha ludzkiego niezwyciężonego, w prawo do życia wyzwolonego z trwogi i głodu... W wielką przemianę, braterstwo wolnych...?"

Nienawiść? Tak, ale nie jak chce krytyk, oparta o szyderstwo i cynizm, lecz o zrozumienie źródeł i form zła i o miłość. Tak, o miłość dobra. Czy przypadkiem takiej właśnie nienawiści nie głosił również i... Chrystus?

Innego rodzaju jest sprawa krytyki „artystycznej" „Wierszy z obozu". Chyba dla każdego jest rzeczą jasną, że w obozie nie najważniejszą była sprawa „dorośnięcia wyrazu do przeżytej rzeczywistości" jak pisze krytyk „Odrodzenia" p. J. Pregierówna, której „wstyd jakoś mówić o słabych wierszach lub prozie ludzi, których siła charakteru, których prawda życiowa stała ponad jakimkolwiek porównaniem ze sztuką dobra czy zła".

Zależy, co p. J. Pregierówna nazywa „dobrą" lub „złą" sztuką i potrafi ona oddzielić wartość społeczną (w najszerszym tego słowa znaczeniu) od czysto formalnych ujęć. Krytyk „Odrodzenia" nie rozumie znowu „jakim sposobem ta postawa (buntu przyp. mój) była możliwa w obozie".

Bez tej postawy — nie było w ogóle Człowieka.

Ostatnia sprawa: dotychczas nie miałem możliwości publicznego podziękowania ludziom, którzy uratowali te wiersze przed gestapo i zniszczeniem. Proszę mi pozwolić na tym miejscu podziękować Pani Teresie Lasockiej-Estreicherowej i R. Krupowej za przechowywanie części tych wierszy przez czas wojny i pobytu mego w obozie.

Tadeusz Hołuj

Noty

Głos Z. Nowakowskiego

Dziennik „Nowy Świat" ogłasza korespondencję z Londynu, pióra Zygmunta Nowakowskiego, który stwierdza, że rozgrywka wyborcza w Polsce została zaaranżowana w interesie sił zewnętrznych, pragnących wyciągnąć korzyść w grze, której celem jest już nie Polska, ale Niemcy. To sufler siedzący w budce starał się doprowadzić w Polsce do ostrej walki wyborczej.

„Zapatrywania nasze na Mikołajczyka zmieniły się — pisze dalej Nowakowski. — Jeżeli w chwili obecnej gdzieś w lasach kryją się jeszcze ośrodki oporu, to przejmuje nas to zgrozą, ale nie podziwem. Wiemy, iż ośrodki te otrzymują pomoc od czynników z zewnątrz i trudno ich działalność nazwać inaczej, jak

zbrodnią przeciwko narodowi polskiemu. Jeśli jest jakaś ręka, która pcha do walki w warunkach całkowicie beznadziejnych, to niech ta ręka uschnie". **bs.**

Popis dzikusów

Patrz: „Tygodnik Warszawski" Nr. 4 z dn. 26.1.1947.

I. Subtelność myśli:

Za to na czoło dyskusji wysunęły się dwa systemy: materializm dziejowy i egzystencjalizm. Materialistyczne pojmowanie historii twierdzi, że istnieje tylko materia i ruch jako forma jej bytu, nie ma osobowego Boga, Stwórcy świata, ani Opatrzności, ani duszy nieśmiertelnej, ani odpowiedzialności poza grobem. W świecie jest nieustanny i nieskończony proces stawania się. Nie ma żadnych wiekuistych pojęć, ani zasad, a stosunki ekonomiczne są rozstrzygającym czynnikiem w procesie rozwoju ludzkości. Ponieważ człowiek ma być tylko zwierzęciem, oto więc jest godna jego filozofia!

(Ks. Radkowski „Międzynarodowy Kongres Filozoficzny w Rzymie").

II. poczucie humoru:

Trudno ustalić chronologię. A byłoby to interesujące. Kiedy p. Konstanty Ildefons począł „Zieloną Gęś", wydrukowaną w „Przekroju" Nr. 82 pt. „Nieznany list Juliusza Słowackiego do matki".

P. Gałczyński tym razem dla kiepskiego, politycznego dowcipu poświęcił Słowackiego. Naplewatł! Słowacki, nie Słowacki — byle gęś gęgała! Byle propaganda szła!

(Filip. „Pod światło"). **rdc.**

Temu groźba, temu nadzieja!

W związku z moją notą „Dziwna zapowiedź" „Kuźnica" Nr 4 (73) z dnia 28. 1. 47, w której zwracałem uwagę na ożywienie idej mesjanistycznych wśród członków naszej Akademii Umiejętności otrzymałem szereg listów. Różnej treści i tendencji. Wrócę jeszcze do niektórych z nich. Tu przytaczam groźny fragment krótkiej pocztówki:

„Obywatelu! Z waszej polemiki nad książką(?) prof. Gaweckiego widzę, że jesteście wprost opętany waszym gasnącym marksizmem, który wydedukował Hitleryzm (sic!).

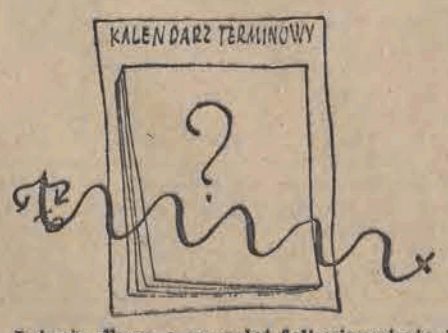

Już nie długo a na całej fali ujawni się jednego dnia Mesjanizm..."

A więc niedługo! I jednego dnia! Prof. Gawecki może być spokojny. Akademia Umiejętności może być spokojna. Twórzcie dalej! **żłk.**

Myśl w obcęgach

„Tygodnik Powszechny" przyzwyczajony myśleć według formułek narzucanych nietolerancyjnie każdemu i raz na zawsze nie wyobraża sobie:

1) że w tym samym piśmie dwu pisarzy może mieć odmienne poglądy,

2) że ten sam artykuł może być „ciekawy" z racji choćby nowości argumentacji a mimo to, — spełniać szkodliwą funkcję kulturalną.

Sprawa dotyczy oceny w „Kuźnicy" artykułu prof. Borowego o ks. Bace. Kronikarz pisma nazwał go „ciekawym", ja zaś podkreśliłem, iż obiektywna funkcja tego artykułu dzisiaj sprowadza się do „wybielania" mrocznych czasów naszej kultury, czasów saskich.

Korzystam z okazji, by podkreślić: funkcja obiektywna. Domyślam się bowiem, iż prof. Borowy subiektywnie może i o niczym takim nie myślał. Po prostu zgodnie z dobrym obyczajem zebrał sporą garść nowych (i przeto ciekawych!) filologicznych informacyj o XVIII wieku w Polsce. Dodał parę ciepłych ocen, zrozumiałych u katolika, choć niesłusznych z historycznego i socjologicznego punktu widzenia. A że nie zinterpretował naukowo tych swoich faktów, to już sprawa stanu metodologicznego naszych tradycyj polonistycznych, którym ciągle wystarcza filologiczna wpływologia bez koniecznej interpretacji socjologicznej. **żłk.**

Skleroza

W tygodniku ilustrowanym „Tydzień" istnieje rubryka pt. „Skleroza". Ma ona ujawniać różne objawy tej choroby na łamach naszej prasy.

W ostatnim numerze „Tygodnia" zamieszczono w tym dziale nadesłane przez p. Mayer z Łodzi zadanie algebraiczne z podręcznika jako dowód **„sklerozy"** autora książki szkolnej. Po czym następuje komentarz, kilka słów, lekceważących i pogardliwych o au-

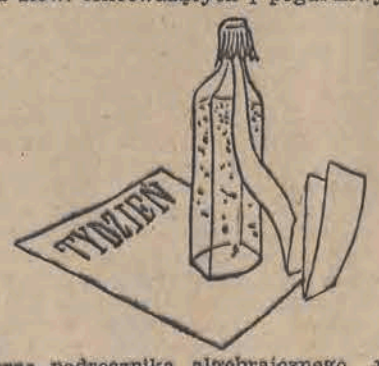

torze podręcznika algebraicznego „niejakim" p. Banachu. Kim jest ów p. Banach? Otóż ś. p. prof. Stefan Banach, b. wykładowca i ostatni dziekan Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Uniwersytetu Lwowskiego, był jednym z najwybitniejszych polskich matematyków, którego nazwisko znane jest matematykom całego świata. Przydałaby się odrobina orientacji naukowej. **k. g.**

Amitié Franco — Polonaise

Paryż, w styczniu

W swym artykule o stosunkach kulturalnych polsko - francuskich[1]) Jan Kott, analizując z wielką wnikliwością problemy i niedomogi tej tak ważnej dziedziny współżycia dwóch krajów, połączonych starymi i nowymi więzami, naszkicował obraz prawie kompletny wszystkich elementów, stanowiących ludzki aparat tych stosunków. Skoro powiadam: prawie, to dlatego, że zabrakło w nim wzmianki o pewnej instytucji, która zasługuje może w tym względzie na uwagę, chociaż nie jest ani oficjalna, ani, stricto sensu, polska i chociaż jej możliwości są większe od jej realizacyj. Mam na myśli „Amitié Franco - Polonaise" we Francji i „Towarzystwo Przyjaźni Polsko - Francuskiej" w Polsce.

Jeżeli w inwentarzu Kotta zabrakło o niej wzmianki, to zapewne po prostu dlatego, że autor położył akcent na zagadnieniach naszej propagandy, bardziej albo mniej urzędowej.

Jakkolwiek jest pewnym, że ta tradycyjna forma podtrzymywania stosunków kulturalnych między narodami pozostanie i w przyszłości ważnym narzędziem działania, którego skuteczność, jak zawsze, będzie funkcją inteligencji i wyobraźni urzędników, to ewolucja ostatnich lat usprawiedliwia nadzieje, że coraz częściej i mocniej dochodzić będzie do głosu nowy czynnik: czynnik inicjatywy społecznej, wiążącej kraj z krajem, w harmonijnej współpracy z zaprzyjaźnionymi urzędami, ale bez rezygnowania z własnego oblicza lub zastępowania się nimi.

Trzeba przyznać, że precedens przedwojennych Towarzystw Przyjaźni budzi mało pod tym względem zaufania. Któż nie pamięta pretensjonalnej głupoty dobroczynnych matron z wyższych sfer na herbatkach dyplomatycznych, albo żyjących zagranicą, na koszt oficjalnych funduszów propagandy, poważnych panów z parasolami, którzy czynili tę dziedzinę działalności swoją wyłączną i zazdrośnie strzeżoną dziedziną próżnowania?

Ale świat idzie naprzód. Od czasu tych „szczęśliwych lat beztroskich" ludy przeszły przez straszliwy kataklizm represji faszystowskiej i twardą szkołę walki wyzwoleńczej, w której nikt się nie kwapił zastąpić ich własnej inicjatywy.

„Amitié Franco Polonaise" powstała w ogniu tej walki. Jej prezes, Fryderyk Joliot-Curie, w chwili, gdy obejmował nad nami przewodnictwo, był prezesem francuskiego Frontu Narodowego, podziemnej federacji, skupiającej dziesiątki organizacyj walki od skrajnej lewicy do skrajnej prawicy i kierującej formacją wojskową Wolnych Strzelców i Partyzantów. W owej chwili na poddaszu Instytutu Radowego, którego był dyrektorem, i nad którym czuwał z ukrycia, produkowano aparaty radiowe, a w piwnicach — bomby na użytek francuskiego Ruchu Oporu, podczas gdy w laboratoriach pracowali niemieccy fizycy w mundurach oficerów Wehrmachtu.

W swojej walce, która była jednocześnie torowaniem sobie własnych dróg i zdobywaniem własnego wyrazu, „Amitié Franco-Polonaise" gromadziła doświadczenia, niekiedy radosne, a niekiedy smutne. Konieczność znajdowania i utrwalania nowych rozwiązań, hamowała niekiedy doraźną skuteczność jej pracy. Któregoś dnia zostanie napisana jej krótka, ale ciekawa historia. Obecnie wystarczy stwierdzić, że wie ona dobrze, czego chce. Ma ona ambicje zapoczątkowania wielkiego ruchu ideowego, którego założenia formułuje artykuł naszego wielkiego przyjaciela, Fryderyka Joliota.

We wspomnianej na wstępie pracy Jan Kott mówi o potrzebie stworzenia w Paryżu poważnego miesięcznika w języku francuskim, któryby służył celom naszej propagandy, jako o rzeczy pilnej i wielkiej wagi. Postulat postokroć słuszny i sprawa pozostaje otwarta. Tym bardziej interesującą wyda się, podjęta w roku 1944, przez grupę francuzów, członków Amitié, inicjatywa, która wychodzi naszej na spotkanie i która wkracza obecnie w stadium realizacji. „Amitié Franco - Polonaise" rozpoczyna publikowanie pisma pod tytułem „Peuples Amis".

Mieczysław Bibrowski

[1]) Kuźnica Nr 65, str. 8.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy".
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENY OGŁOSZEŃ:
Kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł. 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000. — Drobne ogłoszenia 25 zł za 1 mm na 1 szpaltę.
D—011317 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.

KUŹNICA

SOBĄ SIĘ ZACHWYCA

„NAUKA CZYTANIA I PISANIA ZWALCZA ANALFABETYZM..."

(*Henryk Smuga-Ładosz*)

HUGO KOŁŁĄTAJ

PAWEŁ HERTZ

Stefan Żółkiewski

Nie ogłupiać młodzieży

Nie przebrzmiał jeszcze irytujący bełkot krakowskich gloryfikatorów mesjanizmu, a już mamy do zanotowania nowy objaw fantastycznego schorzenia organizmu kulturalnego. Tym razem przeszczepiono go z literatury obcej na zgniłą glebę naszego rodzimego wstecznictwa. Nieupolityczniony i nieuaktywniony pisarz słowacki obdarzył bratni naród słowiański bzdurnym utworem pt. „Król-Duch", godnym naszego starego erotomana Towiańskiego. Niewiadomo zresztą, o jakiego króla tu chodzi, bo jeśli o Jana Aleksandra, to trudno nazwać go duchem, chyba, że złym duchem „Wsi". Przyswojenie tego utworu polskiej literaturze filozoficznej przez reakcyjne ośrodki dyspozycyjne pseudorewolucyjnej jałowej peiperowskiej kretynologii, lekceważącej rygory empiryzmu w teorii kultury i socjologii, rzuca charakterystyczne światło na stosunek nieobyczajnego mętniactwa ideologicznego do organizacyjnej siły rozumu i aktualnej problematyki dialektycznej.

Wystarczy, zresztą, zajrzeć do siódmego tomu znakomitej pracy Grzegorza Grigorjewa „O preponderancji sektora kulturalnego nad amplitudą reform , aby zrozumieć, ile słuszności mieli tacy pisarze, jak prof. Straburzyński, Cypkin i Portmanietow.

Odechciewa się żartów. Młodzież polska wo ła głośno o Kołłątaja, Hertza i Dziunię Chojnacką.

Młodzież polska chce znaleźć swój stosunek do konwencjonalizmu w metodzie fenomenologicznej, do pragmatyzmu w teorii formalizmu nauk dedukcyjnych, do humanizmu w badaniach kryteriologii bez wulgaryzacji tomistycznej, do składniowo-semantycznej teorii gnicia polskiej inteligencji romantycznej wreszcie bez Diltheyowskiej krytyki strukturalnej.

Do pioruna jasnego! Nie wolno mącić w głowach młodzieży!

Naukowe socjalogiczne ujęcie systemów metodologicznych przez zespół „Kuźnicy" pozwala stwierdzić naszą prekursorską rolę w stosunku do wyników nauki współczesnej i wskazuje drogę, którą młodzież polska kroczyć powinna.

Jan Kott

Tydzień paryski

Siedziałem u Eluarda w miękkim fotelu i patrzałem na wytworny portret Modiglianiego przedstawiający wykwintną panią w średnim wieku (i co ty na to średniowieczny Arturze Sandauerze?) Eluard stał przy biurku o parę kroków ode mnie i mówił:

— Czy zwróciłeś uwagę na to, że przyjeżdzają z zagranicy różni nudziarze i zanudzają pytaniami, przy czym zdaje im się, że jeśli przez grzeczność coś tam im odpowiadamy, to mogę potem u siebie w kraju wyciągać z tego ogólne wnioski i imponować osobistą z nami znajomością. Zastanów się nad tym i powiedz: co z takimi zrobić? Czy zastosować wobec nich normy moralności, czy zdemaskować kapitał intelektualny, czy też może zaskoczyć ich pustkę duchową przedwojennego inteligenta? Pa, Aragon!—Eluard odłożył słuchawkę i zwróciwszy się do mnie zapytał:

— A pan w jakiej sprawie?

*

Idąc z przyjęcia od ambasadora angielskiego do „Café des deux Magots" gdzie umówiłem się z Sartre'm na rozmowę, przechodziłem przez plac, który wychowani na Balzaku i Stendhalu paryżanie nazwali dowcipnie „place St. Michel". Plac ten leży przy samej Tamizie. Zauważyłem, że koło mostu bawił się chłopczyk i dziewczynka, którą w pewnym momencie obsunęła się i spadła do Tamizy. Kiedy zwróciłem na to uwagę chłopczykowi, plującemu tymczasem na chodnik i dłubiącemu w nosie, wyjął palec z nosa i powiedział mi: „merde". To zdanie dało mi wiele do myślenia, szczególnie, że z tego samego placu „St. Michel" wygłosił Napoleon przed zwycięskim wyruszeniem na zdobycie Londynu słynną mowę zaczynającą się od przysłowiowego już dziś słowa: „Francuzi". Nie ulega wątpliwości, że cała ta historia demaskując wprawdzie conradowski dramat postaw moralnych, świadczy o tym, że przedwojenny styl życia liberalnego intelektualizmu wciąż jeszcze jest podsycany we Francji przez zwolenników faszyzmu. Najciekawsze w tym wszystkim jest to, że gdy w „Cafe des deux Magots" opowiedziałem o zdarzeniu Sartre'owi, odłożył ciastko, które niósł do ust, patrząc mi prosto w oczy, czekł: „Merde" i wyszedł nie płacąc.

Zdziwiony takim obrotem zdarzeń skinąłem na kelnera:

—Czy pan Sartre zawsze jest taki roztargniony? — spytałem. A na to kelner złapał mnie za ramiona, zaczął mną potrząsać i krzyczał:

Sandauer, Sandauer, Sandauer!

W tym momencie obudziłem się w moim hoteliku na rue Monsieur le Prince. Nade mną stała żona i mówiła potrząsając mną:

Zbudź się wreszcie! Jest 11-ta, Sandauer czeka na ciebie na pewno już od dawna, umówiłeś się z nim wczoraj o 11-ej w „Cafe des deux Magots".

Stefan Otwinowski

W KRAKOWIE

(List piąty przez dziesiąty)

Malarstwo w Krakowie jest jak pastorał arcybiskupa Sapiechy. Możnaby dodać do tego to i owo, ale to i tak nie nauczy krakowian niczego. Najlepiej zapytajcie Zawieyskiego. On wie. Chociaż jak go znam nic nie powie. Nie jest przypadkiem, że biologia humanistyczna wyjątkowego u nas katolika nie jest w Krakowie tak powszechna jak „Tygodnik Powszechny". Nawet już niektórzy krakowscy malarze nauczyli się po paru rozmowach ze mną u Noworolskiego właściwego stosunku do kolorystyki. Chociaż nie przyszło mi najłatwiej wytłumaczyć im to, co dawno wiedzą w robotniczej Łodzi, że kolor jest kwestią konfrontacji wzruszenia z moją „Wielkanocą". To zresztą tak jak z Rynkiem Kleparskim: zaczyna się w jednym miejscu, a kończy w drugim. Musiałem ich trochę skrzyczeć, zanim zrozumieli.

*

Z moim „Czasem nieludzkim" było trochę zabawnych nieporozumień. Czytelnicy nie chcą kupować bo mówią, że to nudne, a krytycy nie chcą pisać dobrych recenzji, bo boją się rewolucji mojego łagodnego humanizmu jaki zaprowadzam w Krakowie. Moja żona bardzo się z tego uśmiała wczoraj u fryzjera na Floriańskiej. Tak. Przeprowadzam trochę rewizji mojego otoczenia i wentyluję jak mogę Kraków od klerykalnej naftaliny. Na moich tekstach uczą się pisać młodzi i nie tylko młodzi literaci. Nie jest łatwo przerastać o głowę swoje otoczenie, bo nie widać, co się dzieje w dole. Zresztą to nie jest jedynie mój trud w Krakowie. Muszę oduczyć ludzi tego wszystkiego czego uczyłem ich przed wojną.

Z liryki autentycznej

NADZIEJA

Najpierw po kałuży brodziły bose stopy dzieci,
potem byle jakie buciki krajały lód,
potem dzieciom kazano pisać byle jakie wiersze.
Teraz skupiona układam na wietrze bijącym mi w twarz
wyciętą z papieru dłoń męską, z tektury wycięte plecy,
bez pleców — trudno.
Ciułam po starych foliałach słowa rozsiane przez innych poetów
i nizam je na nici, aby były najmniej zrozumiałe,
starzy je chwalą dlatego, że ich naśladują, młodzi czytają, bo myślą, że tkwi w nich sens,

łatwo jest pisać te dyrdymałki, gdzie nie ma początku, ni końca,
łatwo drukować je w piśmie, gdy ma się przyjaciół.
Oto jest droga do sławy: sama ją sobie zdobywam.
Mawiała mi matka moja: bez pleców trudno,
Mawiała mi babka moja: bez pleców trudno,
Mawiali, mawiali, mawiali — bez pleców trudno, bez pleców trudno.

KONTEMPORENTNY FREDRO DEMOKRACJI

(Autorecenzja Adama Ważyka)

Teatr Powszechny TUR-u: „Stary Tworek", Sztuka w 3 aktach Adama Ważyka.

Po wielu nieudanych eksperymentach, po wznowieniu stetryczałego „Świętoszka, po mętniackiej „Elektrze" i bełkotliwym „Fantazym". po samobójczej próbie odmłodzenia zmurszałego Shawa, tym razem, wydaje się, teatr łódzki odnalazł właściwą drogę.

Autor nie uronił nic z tak dobrze sobie znanej atmosfery ziemiańskiej, w której to przesiedział kilkanaście lat poprzedzające drugą wojnę światową. Jak nikt inny potrafił wczuć się w psychikę ludzi zamieszkujących okolicę Mazowiecką, na której to ulicy, pod dwunastym, mieściła się wspomniana Ziemiańska.

W osobie dziedzica nietrudno rozpoznać wtajemniczonym popularną w owym czasie postać „króla pączków" Albrechta i jego wspólnika Skępskiego. Pączki występują w sztuce — drogą przemyślanej alegorii — na rozkwitających drzewach, kelnerzy zaś i ekspedientki zręcznie ukrywają się pod maskami czeladzi i dziewek służebnych.

Sztuka „Stary Tworek" miała się pierwotnie nazywać „Stary Faworek", ale tytuł jej został zmieniony w myśl koncepcji realizmu, bowiem w Ziemiańskiej faworki były zawsze świeże.

Duch wstecznictwa, jaki panuje w części zespołu teatralnego, natchnął administrację teatru w kierunku prób sabotażu. Oto przedstawienia „Starego Tworku" wyznaczane bywają podstępnie w te dni, kiedy sala stoi pustkami. W dniach, kiedy jest przepełnienie na widowni, idzie w najlepsze sztuka „Pan Damazy".

Nie bądźmy tak naiwni, aby fakt ten tłumaczyć sobie przypadkowym zbiegiem okoliczności. Teatr chce wojny, więc będzie ją miał.

Przyjmuję wyzwanie. I zaręczam, że teatr gorzko tego pożałuje:

Wczoraj w kancelarii teatru złożyłem nową sztukę.

Adam Ważyk

ADOLF RUDNICKI

Foto: M. Jastrun

ODCZYTY „KUŹNICY"

Dnia 12 b. m. o godzinie 16-tej w lokalu „Klubu Pickwicka" Traugutta 6 (I p. wejście przez hotel **(kpt. Ryszard Matuszewski** wygłosi odczyt z cyklu **„Popierajmy się, kto wie czy świat potrwa jeszcze trzy tygodnie..."**

p. t. „FELIETONY JANA KOTTA".

Dnia 13 b. m. w tym samym lokalu, o tej samej godzinie, odbędzie się drugi z kolei referat **Jana Kotta**

p. t. „ARTYKUŁY KPT. RYSZARDA MATUSZEWSKIEGO".

Następnego zaś dnia, t. j. 14 b. m. wygłoszony zostanie dwugłos kpt. Ryszarda Matuszewskiego i Jana Kotta p. t.:

„NASZE ARTYKUŁY I FELIETONY".

Na zakończenie pierwszej części cyklu **Juliusz Żuławski** zaznajomi słuchaczy z fragmentami swej nigdzie jeszcze nie napisanej powieści p. t.:

„NA SREBRNYM GLOBIE MEGO OJCA".

Odczyty ilustrowane będą barwnymi przezroczami. Akompaniuje na basie Joanna Guzówna. Stawiennictwo członków Klubu Młodych — obowiązkowe.

Pawel Hertz Jan Kott

DIALOGI PARYSKIE

CUDZOZIEMIEC I. Pomówimy dziś o Malwinie.
CUDZOZIEMIEC II. Już wolałbym mówić o Kalwinie
CUDZOZIEMIEC I. Fe! O religii?
CUDZOZIEMIEC II. Jeśli idzie o kobiety, jestem raczej bezwyznaniowy.
CUDZOZIEMIEC I. Odkąd uciekłeś z kraju Camambertów cytujesz nieustannie aforyzmy La Gruyera zamiast zainteresować się trochę starym Roquefortem.
CUDZOZIEMIEC II. Jest dla mnie za ciężki. Kiedy byłem jeszcze małym pacholęciem w rodzinie nieupaństwowionych fabrykantów, chętnie czytywałem wiersze Guerlaina. Ale w miarę dojrzewania — przejrzałem.
CUDZOZIEMIEC I. Rozumiem. Walka klas.
CUDZOZIEMIEC II. Oczywiście. Nie czas żałować róż gdy płoną klasy.
CUDZOZIEMIEC I. O której Róży mówisz? Czy o tej ładnej blondyneczce z Klubu Młodych?
CUDZOZIEMIEC II. Wolę „Klub Pickwicka", niż Klub Młodych.
CUDZOZIEMIEC I. Widzę, że jesteś głodny... Przypomniał Ci się pewno befsztyk.
CUDZOZIEMIEC II. Entre — Kott soi dit... (Po tych słowach obaj udają się na piwo).

Wanda Żółkiewska

PASJA i ARTYZM *)

Kazimierz Brandys, którego na wstępie należałoby koleżeńsko ostrzec przed stosowaniem zbyt realistycznych wstrętów w dziele przepojonym liryzmem, dał niewątpliwie w swym „Koniu" dowody odwagi widzenia spraw najbardziej szlachetnych i bolesną próbę swego niezaprzeczonego talentu.

Witalność postawy ludzkiej, otwarta afirmacja świata, zdumiewająca ciekawość wobec wydarzeń przenikające książkę Kazimierza Brandysa — spełniają niechybnie funkcję zetknięcia z ostro wyrażonym poglądem na świat. Po przeczytaniu tych stron, na których nawiasem mówiąc pokuszono się o stworzenie koncepcji artystycznej wielkiego formatu, odnosi się wrażenie, że jest w tej książce przede wszystkim znamienny kontur osobowości nasycającej swą treścią psychiczną tak bogato, że aspekt rzeczywistości ukazany przez Kazimierza Brandysa posiada cechy nowe i prawdziwe.

Autor „Konia niepokonanego" pieczęcią swego samorodnego talentu potwierdza doświadczenie podjęcia trudu doboru i kompozycji przeżyć ludzkich ukrytych pozornie w warstwie układających się zdarzeń, jakie dostrzegł bystro w swych obserwacjach okupacyjnych. Wprawdzie cechą książki Kazimierza Brandysa jest skromny zamiar artystyczny, lecz wymowa utworu szczęśliwie niezwykle spełnia ten zamiar.

*) Kazimierz Brandys „Koń niepokonany" str. 17 + IV ulb. Sp. Wyd. „Lektor".

Kazimierz Brandys

ARTYZM i PASJA *)

Cechą książki Wandy Żółkiewskiej jest skromny zamiar artystyczny, lecz wymowa utworu ten zamiar spełnia niezwykle szczęśliwie. Autorka bystro dostrzegła w swych przeżyciach okupacyjnych doświadczenie ludzkie ukryte pozornie w warstwie układających się zdarzeń. Podjęła trud ich doboru i kompozycji, aby to doświadczenie potwierdzić pieczęcią swego samorodnego talentu. Aspekt rzeczywistości ukazany w książce Wandy Żółkiewskiej, posiada cechy nowe i prawdziwe.

Jest w tej znamiennej książce przede wszystkim kontur osobowości nasycającej narrację treścią psychiczną tak bogato, że po przeczytaniu tych stron, na których nota bene stworzono koncepcję artystyczną wielkiego formatu, odnosi się wrażenie zetknięcia z ostro wyrażonym poglądem na świat. Tę funkcję spełnia niewątpliwie witalność postawy ludzkiej, otwarta afirmacja świata, zdumiewająca ciekawość wobec wydarzeń przenikające książkę Żółkiewskiej.

Autorka, którą przy końcu należy koleżeńsko ostrzec przed stosowaniem poetyckich wprawdzie, ale w dziele epickim zbytecznych może wtrętów, dała w swej książce niewątpliwie dowody odwagi widzenia spraw najbardziej bolesnych i szlachetną próbę swego talentu.

*) Wanda Żółkiewska „Dymy nad Limbach" Sp. Wyd. „Tom" str. 951+MDMXLII ulb.

Noty

W KRAINIE BEŁ-KOTTA

Długo, długo milczeliśmy obserwując nadęte krygi i magiczne zaklęcia szamanów, rzekomych obrońców chłopa i (pożal się boże!) „agrarystów" z nieprawdziwego zdarzenia. Lecz przebrała się miarka naszej cierpliwości. Bo oto w n-rze 27 czasopisma „Doniczka i lemiesz" chwytamy to towarzystwo na gorącym uczynku:

...po obaleniu przez naukę przesądów racjonalizmu wiemy, że hodowla grzybów łączy harmonijnie rozbitą osobowość chłopską...

Dość tego ple... ple... ple... Nie od dziś wiemy, że pewne „mamroty" i ciągoty są motorem pędzącym wodę na młyn p. p. Jacka Frühlinga, Millera (po polsku — młynarz!), Dzikowskiego i Szczawieja. Karty są znaczone, panowie. Szkoda łez — wkrótce pójdziecie na grzybki!

rkm.

SPROSTOWANIA

NIE BRYNDAS, TYLKO BRANDYS

W recenzji J. Żuławskiego z „Krakowiaków i Górali" przywódcę góralskiego ruchu rewolucyjnego Brandysa nazwano omyłkowo Bryndąsem, co niniejszym prostujemy.

GAFFA

W zakończeniu artykułu St. Żółkiewskiego „Ze wspomnień polskiego inteligenta" w ostatnim zdaniu: „Wspominam i staram się odpowiedzieć na historyczne pytanie: jak się nawracało skutecznie — opornego Szawła — polskiego inteligenta" wydrukowano, oczywiście omyłkowo, imię Szawła zamiast Pawła. Za tę gaffę korektorską kolegę Hertza najserdeczniej przepraszamy. rdc.

ACH, CI ZECERZY!

Przekorny chochlik przedamnestyjny uwziął się tym razem na podpisy pod fotkami, zamieszczonymi na niniejszej kolumnie. Pod pierwszą napis powinien brzmieć: „Paweł Hertz", a pod tą drugą — „Kołłątaj Hugo". Za tę przykrą koincydencję serdecznie przepraszamy obu pisarzy.

NIE BRANDYS, TYLKO BRYNDAS

Złośliwy chochlik przedwyborczy zmusza nas do sprostowania naszego sprostowania, albowiem w „Krakowiakach i Góralach" rzeczywiście występuje Bryndas, nie zaś Brandys, jak to przekręcili nasi korektorzy.

SPÓŁDZIELNIA KPISARZY „STAŃCZYK" KIEROWNIK SPÓŁDZIELNI: Leon Pasternak DOSTAWCY: Jan Brzechwa, Stanisław Dygat, Janusz Minkiewicz, Leon Pasternak, Henryk Tomaszewski.